Cena 60 groszy Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DWUTYGODNIK

ROK 5 WARSZAWA — 1932 — 1 CZERWCA NUMER 11

REDAGUJE KOMITET

Czy nazwa „bezbożnik“ jest epitetem ubliżającym czy — zaszczytnym?

Gadzinom Polski — poświęcam

Prasa klerykalna w Polsce, zasilana podjudzającymi po-chrześcijańsku komunikatami KAPry, stara się jak tylko może „zohydzać“ w oczach swojej klienteli tych, co wystąpili z kościoła i nie chcą mieć póki życia nic wspólnego z klerem ani z ich „bogiem“. Służą do tego dwa środki: 1) łączenie bezbożnictwa z obowiązkowem uprawianiem szpiegostwa na rzecz Rosji sowieckiej, przyczem to łączenie robi się drogą niedomówień i insynuacyj[1]) tak, ażeby nie można było „brzydzącego się kłamstwem“ katolickiego Al-KAP-one z ul. Miodowej pociągnąć do odpowiedzialności sądowej i 2) szermowanie zohydzającym nas rzekomo epitetem „bezbożnik“, lub „bezbożnicy“.

Bezbożnik! Na dźwięk tego słowa mają wierzącym powstawać włosy na głowie; oburzenie i zgroza zalewać mózgi; ma ono budzić w sercach miłujących istności urojone szlachetny zapał krucjatowy, a ręce złożone do modlitwy powinny się zaciskać odruchowo w gotowy do ataku kułak fanatyka.

---

[1]) Insynuacja, świadome pomawianie kogoś o czyny niepopełnione lub o zamiary, których nie miał; wzbudzanie podejrzeń nieuzasadnionych lub podsuwanie komuś myśli, któreby mu w głowie nie powstały. Gdy ksiądz zadaje małej dziewczynce na spowiedzi pytanie: „Czy nie bawiłaś się swojem ciałem?“ lub: „Czy nie było nieprzyzwoitych dotknięć?“ jest to również insynuacja—bardzo po katolicku umoralniająca.

Bo bezbożnik — według definicji i wykładni ambonowej, to zwierz-drapieżnik, patrzący tylko, kogoby pożreć; to rekin żarłacz, z wiecznie rozdziawioną paszczą, uzbrojoną kilkoma rzędami piłkowanych zębów; to zbrodniarz, złodziej, bandyta, ludożerca, Kuba-rozpruwacz, upiór z Düsseldorfu, dynamitarda, szpieg, nożowiec, podpalacz, koniokrad, gwałciciel nieletnich, chodząca zgnilizna moralna — i wszystko co chcecie. A dlaczego? Oto jeno dlatego, że bezbożnik nietylko sam nie chce nic dać księdzu zarobić, ale jeszcze innych od tego dawania odmawia. Nietylko sam nie daje się księdzu wodzić za nos, bo mu nie wierzy, ale jeszcze innym powiada, jak Jontek do Halki:[2]) „I ty mu wierzysz?“...

Usłyszawszy lub przeczytawszy słowo „bezbożnik“ ten i ów ma natychmiast zamknąć szczelnie wszystkie drzwi i okiennice, spuścić psa z łańcucha, wziąć do ręki rewolwer, a w najgorszym razie obejrzeć się za kijem, widłami lub kłonicą, aby ich użyć bez namysłu ze słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ (pisaliśmy o tem niedawno) i roztrzaskać wrażą czaszkę takiego wroga rodzaju ludzkiego, ponieważ zawartość tej czaszki nie chce być pastwą kapłańskich chimer i siedliskiem jaskiniowej filozofji.

Słowo to ma mieć nadto elektryzujący religijną ospałość bodziec psychiczny wojskowej komendy: „Baczność!“ lub „W tyraljery!... kierunek Kreml i Królewska ulica!“ Ma uczynić zwartszymi zagrożone w swojej wierze, czyli w bezmyślnej naiwności szeregi akcji katolickiej, ma porwać na nogi cały obóz „Chrysta,“ przeciwko obozowi „Antychrysta“, uzbroić go od stóp do głów w pancerze fanatyzmu, w to osocze[3]) ślepej wiary, w dwusiecze zaświatowych fikcyj i w lance bogobojnej krwiożerczości. Ma z każdej piersi, pełnej chrześcijańskiego miłosierdzia, a łaknącej pozagrobowego odkupienia i cudu, wyzwolić kłęby trujących gazów do masowego tępienia niewiernych, usta zaś zaprawione do bezmyślnego klepania ojczenaszów i zdrowasiek zamienić w karabiny maszynowe wyzwisk, pomstowań i insynuacyj. A przedewszystkiem ma zamknąć uszy, które są ku słuchaniu, na podszepty rozumu, a oczy, które są ku widzeniu, na czytanie „trucizn“ i „jadów“ antyreligijnej literatury.

Aby więc na postawione w nagłówku pytanie odpowiedzieć dokładniej, zastanówmy się pokrótce nad treścią słowa „bezbożnik“.

Krótko mówiąc: bezbożnikiem jest ten, kto nie uznaje t. zw. boga (któremu w rzeczywistości nic nie odpowiada) i **bez tego boga** się obywa. Tak! Ale co to znaczy? i jakie to za sobą pociąga konsekwencje (następstwa) myślowe, życiowe i społeczne?

---

[2]) W znanej operze St. Moniuszki „Halka“. Red.

[3]) Osocze — jeden ze składników krwi, w którym pływają czerwone i białe ciałka krwi.

To znaczy, że bezbożnik[4]), odrzuciwszy szczytowe pojęcie metafizyczne średniowiecznej i biblijnej teologji, obywa się doskonale bez wyssanych z kapłańskiego palca fikcyj; nie ogląda się na t. zw. niebo, zaludnione zmyślonemi chimerami, branemi za rzeczywistość; nie wyczekuje od tych fikcyj ani pomocy, ani zbawienia; nie uważa się za istotę obarczoną klątwą mistycznego grzechu pierworodnego, będącego prostym wymysłem bujnej wyobraźni teologów, który ma chrzest kościelny gładzić, ale go nie gładzi; nie jest ani animistą, zaludniającym cały świat duchami; nie jest ani bałwochwalcą ani fetyszystą, obwieszającym się amuletami, krzyżykami, szkaplerzami, medalikami, czy paskami św. Franciszka; odrzuca magję zarówno czarną, jak i białą i śmieje się z tego, gdy słyszy, że ksiądz może przy pomocy zaklęć i przepisanych liturgją rękoczynów przekształcić wino w krew, a opłatek wypieczony z ciasta w żywe ciało ludzkie z kośćmi, włosami, paznokciami i przewodem pokarmowym; nie modli się, bo wie, że modlitw ludzkich nikt nie słucha, a zwłaszcza ten i ci, do kogo są zwrócone; nie uznaje nauki o nieśmiertelności duszy w sensie katechizmowym i śmieje się zarówno z kapłańskich bredni o piekle, jak i z takichże bredni o niebie; nie daje się przekonać nawet najbardziej namaszczonym zapewnieniom, że dziewica może urodzić, a umarły zmartwychwstać; nie chodzi do kościoła, chyba tylko wtedy, gdy zainteresuje go jako budynek, jako twór ludzkiej ręki i artyzmu, a nie na t. zw. nabożeństwa, czyli liturgiczne hocki-klocki, wyczyniane przez szamanów i magików, zwanych kapłanami i pośrednikami pomiędzy rzekomym bóstwem, a człowiekiem; nie uznaje biblji za księgę świętą, „za objawione słowo boże“, za zbiór najwyższej mądrości i najwznioślejszych zasad moralnych, ani tem mniej za niewzruszony autorytet (powagę) w tych sprawach, od którego odstąpić nie wolno; nie uznaje prawd bezwzględnych, tylko prawdy naukowe, czyli względne; nie roją mu się po głowie szczęśliwości pozagrobowe, bo wie, że jeżeli ma być szczęśliwym, to tylko za życia; nie dzieli świata na ducha i materję, lecz ujmuje świat, jako całość; nie wierzy w stworzenie świata z niczego, ani w stałość gatunków roślinnych i zwierzęcych; odrzuca nonsens biblijny o stworzeniu pierwszej kobiety z męskiego żebra; nie wierzy w żadną z „prawd“ nicejskiego „credo“, ani w późniejsze dogmaty, bo dogmatów nie uznaje; nie podziela wiary w objawione pochodzenie dekalogu Mojżesza; uważa naukę katechizmową za zbiór nonsensów, obrażających rozum ludzki; nie wierzy w sakramenty, a zwłaszcza w sakrament małżeństwa, niedający się rozerwać, bo małżeństwo jest dla niego

[4]) Greckiego słowa „ateusz“ kler starannie unika, bo nie jest ono takie „wstrząsające“ jak „bezbożnik“ i nie brzmi tak przeraźliwie, jak trąba sądu ostatecznego, który jest również fikcją.

tylko dobrowolną umową cywilną dwojga osób oddmiennych płci, zawiązaną dla wypełnienia przyrodzonych zadań społecznych; nie uważa księży za dobroczyńców ludzkości i za czynnik w nowoczesnem państwie niezbędny, bo ma ich za egoistów, szkodników, intrygantów, ogłupiaczy, dbających o swój kastowy interes; nie wchodzi z papieżami w żadne konszachty, nie zawiera z nimi konkordatów, nie płaci klerowi pensyj, ani honorarjów za posługi religijne, lecz zwalcza kler i konkordaty, gdzie może i jak może; uwalnia szkołę i życie publiczne od „wyznaniowych przywar“; nie uznaje dogmatycznej etyki, lecz całą moralność wprowadza z instynktów społecznych człowieka; nie stara się miłować bliźnich swoich jak siebie samego, bo to utopja, a chce tylko współczuć im po ludzku i pomagać w potrzebie...

Jednem słowem: niewierzący bezbożnik (ateista) jest całkowitem przeciwieństwem wierzących „bożników“ (teistów), czyli ludzi, dających się wodzić klerowi za nos, oszukiwać i obałamucać „wiedzą“ z przed tysiącoleci i etyką wziętą z powietrza (bo z objawienia); przeciwieństwem ludzi, nieumiejących ani krytycznie myśleć, ani postępować samodzielnie.

A teraz pytanie: czy w naszych warunkach, kiedy każde dziecko bywa niemal od powijaków poddawane przymusowej tresurze wyznaniowej, gdy szkoła opanowana przez kler jest tak pomyślana, aby o ile możności utrudnić swobodny rozwój umysłowy człowieka, gdy opinja publiczna, przesiąknięta duchem religijnej nietolerancji, piętnuje każdy przejaw inności umysłowej i moralnej jako rzecz zdrożną i antyspołeczną, zostanie bezbożnikiem jest łatwe?

Nie! Bo aby zdobyć sobie z a s z c z y t n e miano b e z b o ż n i k a trzeba nielada hartu woli, wytrwałości i siły charakteru. Trzeba ukochać prawdę ponad wszystko i dążyć do niej wytrwale. Trzeba wypracować w sobie własny ideał dobra i nie dać go sobie ani wydrzeć, ani zbezcześcić. Trzeba iść naprzód, pomimo kłębowiska gadzin, jakie nasze nogi oplatać będą, przerażać sykiem i ośliniać jadem swej bezsilnej złości, że odważyliśmy się nastawić reflektor naszego krytycyzmu na ich mroczne, cuchnące zgnilizną nory i przestrzegać łatwowiernych przed ich napastliwemi podstępnemi zamiarami.

Z tego powodu zdobycie tytułu bezbożnika nie jest łatwe.

Aby zostać bezbożnikiem, trzeba przedewszystkiem dużo wiedzieć, dużo przemyśleć i umieć obywać się bez gotowych na wszystko odpowiedzi. Trzeba umieć liczyć na samego siebie — tak, jak inni liczą na fikcje.

To też, gdy w i e r z ą c y m m o ż e z o s t a ć k a ż d y d z i k u s i k a ż d y a n a l f a b e t a, b e z b o ż n i k i e m n i e m o ż e b y ć p i e r w s z y l e p s z y, kto niema odpowiedniego oleju w głowie i nie rozporządza dużym zasobem wiedzy, głównie przyrodniczej i historycznej.

Stąd nazwa „bezbożnik" nie może być w żadnym razie epitetem ubliżającym, a tylko tytułem w najwyższym stopniu zaszczytnym.

Tytuł „bezbożnik", to klejnot szlachectwa myśli (jeżeli mi tu wolno użyć terminów i pojęć z języka „ludzi umarłych"), szlachectwa, niedziedziczonego, lecz zdobywanego indywidualnie. To pas rycerski i złote ostrogi, zdobyte w walce z przedpotopowemi potworami przesądów i stugłową złośliwą hydrą ludzi, którzy z nich żyją. To indygenat[5]) niezależnej wiedzy i bezinteresownej etyki. To tytuł człowieka postępu i przyszłości, która się rodzi na naszych oczach, i nieda się ani cofnąć, ani zastraszyć.

To też śmieszni i mali są ludzie, którym się zdaje, że zaszczytną nazwą „bezbożnik" można nas — obrazić lub ośmieszyć.

Plujcie tedy na ile wam śliny i tchu starczy, a nie doplujecie nam —o gady zimne i oślizgłe— nawet do kostek!

Przyszłość, której my jesteśmy pierwszem pokoleniem, już swój wyrok na was wydała.

Wespazjan Rulikowski

Czy sekciarstwo może być czynnikiem postępu?

W głowach naszej inteligencji postępowej, zniechęconej wytrwałością przedstawicieli panującego wyznania w obronie swych przywilejów, świta nieraz myśl okazania poparcia istniejącym w kraju sektom w myśl zasady „klin klinem"? Ludzie ci wychodzą z założenia, że największe niebezpieczeństwo dla ruchu wolnomyślicielskiego stanowi jednolity charakter klerykalnego obozu, sugestjonującego ogół frazesem o swej „powszechności". Rozbić tę jednolitość, wykazać społeczeństwu naocznie, jak ludzie, przemawiający w imieniu Chrystusa, gryzą się ze sobą o drobne szczegóły, osłabić pochód reakcji przeciw wolności ducha przez zmuszanie jej do smażenia się we własnym sosie w drodze bezustannych walk sekciarskich, oto co ludzie ci poczytują za główne zadanie aż do chwili, gdy ludność tak dojrzeje, że zacznie się obywać bez wszelkich kultów zbiorowych.

Zwolennicy tych poglądów szczególnie zalecają stosowanie tych metod w wypadkach, gdy chodzi o sekty bardziej nowożytne, przesiąknięte duchem demokracji i postępu i bardziej bliskie masom pracującym.

Gdzież są te sekty?

Że katolicyzm nie ma nic wspólnego z ideałami i aspiracjami człowieka nowożytnego, a nauka przezeń głoszona nie odpowiada zupełnie potrzebom mas ludowych, tego już chyba nie potrzeba dowodzić. Byłoby to wyważaniem drzwi otwartych.

[5]) Indygenat — nadanie szlachectwa cudzoziemcowi.

Naiwnością byłoby zachwycać się orędziem kardynała Hlonda czy innego dygnitarza kościoła, stwierdzającego kryzys kapitalizmu i oświadczającego się przeciw nagromadzaniu bogactw. Kościół teoretycznie zawsze stał i stoi w obozie krytyków kapitalizmu (co mu nie przeszkadza zresztą korzystać ze wszystkich dobrodziejstw kapitalizmu i samemu być jednym z największych kapitalistów i posiadaczy dóbr), gdyż opiera się na filozofji Tomasza z Akwinu. Tomasz z Akwinu zaś — to typowa umysłowość średniowieczna, działająca w czasach, gdy kapitalizm rozpoczął swój pochód zwycięski, z czem nie mogli się pogodzić obrońcy gospodarstwa naturalnego, hierarchji feodalnej i wogóle starego ładu, zagrożonego w swych podstawach przez nowe formy gospodarcze. Kościół, który potępił w czambuł całą filozofję starożytną i nowożytną, a dzieła wszystkich filozofów uznał godnemi ognia doczesnego i wiecznego, musi kurczowo trzymać się Tomasza z Akwinu, bo ze wszystkich tak zwanych „ojców kościoła" on jeden stoi na poziomie, pozwalającym zaliczyć go w poczet filozofów.

Ale krytyczny stosunek do kapitalizmu (w życiu codziennem do niczego nie obowiązujący, gdyż kościół co tydzień z kazalnic nawołuje do pogodzenia się z istniejącym ustrojem, obiecując lepszy ustrój... w przyszłem życiu) nie świadczy bynajmniej, aby kościół mógł wystąpić do walki przeciw kapitalizmowi w imię ideałów szerokich mas, wychowywanych pod hasłem uspołecznienia produkcji. Tego kościół nigdy nie uczyni. Uczynić to mogą jedynie jednostki — księża, zrywający z kościołem. Tak—katolicyzm, mimo swych skłonności do oportunizmu, w czem zwłaszcza tak celowali ojcowie jezuici, jest niewątpliwie religją, niedającą się pogodzić ze współczesnym poglądem na świat. Nie jest on ani demokratyczny, ani postępowy, ani nawet narodowy, gdyż pojęcie narodowości takie, jakie się ugruntowało w XIX wieku, a które niezawodnie było w swoim czasie warunkiem postępu, nie pozostawiło żadnego śladu w pojęciach i w organizacji kościoła.

Czy lepiej przedstawia się rzecz z sektami? Może one właśnie reprezentują czynnik postępu w ruchu religijnym?

Należy przedewszystkiem zauważyć, że większość sekt chrześcijańskich powstawała pod hasłem powrotu do przeszłości, do tradycyj pierwszych wieków po Chrystusie, a co za tem idzie, do uwstecznienia gospodarczego. Sekciarze walczyli wprawdzie w imię moralności, w imię uniknięcia nadużyć, jakie się wkradły do kościoła, ale przedewszystkiem przeciw duchowi czasu, z którym zawsze żyli w niezgodzie. Arjanie czy albigensi, anabaptyści czy badacze pisma świętego, kwakrzy czy starowiercy rosyjscy, potępiający w czambuł wszystko to, co przynosiła cywilizacja zachodnia i uważający postępowych carów za synów antychrysta, — wszyscy oni byli zwolennikami form, dawno przeżytych i dlatego ich walka, pomimo wielkiej ofiarności i niewątpliwych walorów ideowych, jakie

do tej walki wnosili, była z góry skazana na przegraną. Utrzymały się przy życiu tylko te sekty, które oparły się na materjalnych interesach klas posiadających (jak np. Luter na interesach niemieckich książąt, dążących do sekularyzacji dóbr kościelnych, przyczem musiał zrezygnować z wielu reform radykalnych, nie pociągających jego możnych protektorów). Te sekty, które przetrwały i stały się wyznaniami panującemi w niektórych krajach, musiały chcąc nie chcąc iść z duchem czasu, zatracając te właściwości, w imię których fanatyczni sekciarze szli niegdyś na śmierć. Dzisiejsi baptyści, potomkowie rewolucyjnych anabaptystów, którzy budowali w Monasterze państwo przyszłości, to bardzo poczciwi i dobroduszni ludzie, którzy dawno się wyrzekli dążeń światoburczych. Niczego innego nie pragną oni, jak tylko tego, aby im wolno było chrzcić się dopiero po dojściu do pełnoletności. A któżby mógł poznać w dzisiejszych wyznawcach kościoła ewangelicko-reformowanego (kalwińskiego) potomków dawniejszych purytanów, lub odznaczających się surowym trybem życia fanatyków genewskich, grupujących się około Kalwina? Pozostała tylko czcza forma: utrzymać się przy życiu można było tylko za cenę oportunizmu (przystosowywania się do okoliczności).

Bardzo często (jak np. u metodystów) dążność do powrotu do dawnych form, jakie miały cechować pierwotną gminę chrześcijańską, łączy się z swego rodzaju demokratyzmem. Jest to zupełnie zrozumiałe, choćby dlatego, że charakter klasowy tych pierwszych ugrupowań chrześcijańskich, opartych przeważnie na proletarjacie miejskim, wykluczał z góry możliwość jakiegokolwiek innego ustroju, oprócz demokratycznego. Była to wprawdzie demokracja o charakterze patrjarchalnym, jej konspiracyjność[1]) — zwłaszcza w okresie prześladowań religijnych — przyczyniła się jeszcze bardziej do spotęgowania tego charakteru patrjarchalnego, opartego na zaufaniu do jednostek czy jednostki. Operowano wówczas chętnie argumentami skrajnie radykalnemi. Niektórych ojców kościoła, wygłaszających poglądy o własności, pomawianoby dzisiaj o bolszewizm. Rozdźwięk pomiędzy nimi a społeczeństwem, zmuszającem i gminy chrześcijańskie do uznawania obowiązujących wówczas zasad prywatnej własności, nie kończył się nigdy tragicznie. Malkontenci nie urządzali rewolucji, lecz odchodzili od świata do pustelni i klasztorów.

I dzisiaj radykalizm niektórych sekt nie może być brany poważnie. Ma on raczej na celu spopularyzowanie założeń sekty wśród mas ludowych i znalezienie tam dla siebie trwałego gruntu. Kończy się wszystko na frazesie i... na zbiorowem śpiewaniu psalmów.

W Polsce, a bardziej jeszcze na Litwie i w krajach nadbaltyckich, mają powodzenie różne sekty, również zamiłowane we frazeologji radykalnej i głoszące hasło opuszczenia „zgniłej“ Europy, którą pochłonie i zniszczy gniew boski, oraz przeniesienie się do Ameryki. W swoim czasie podejrzewano nie-

[1]) Konspiracyjność — tajność spiskowa; od łac. conspiratio— spisek. Red.

których przywódców tych sekt, że są na żołdzie towarzystw emigracyjnych. Tak trudno było uwierzyć, że cyniczna i zmaterjalizowana Ameryka, kraina dolara i businessów, ma przewyższać moralnie naszą „zgniłą" część świata.

Za „demokratów" uchodzić chcieli również przez dłuższy czas marjawici, Zaraz po rozłamie w kościele katolickim i po utworzeniu się marjawickiej sekty, a więc w r. 1906 i w następnych, w publicystyce marjawickiej znaleźć można było wiele akcentów demokratycznych. Zarzucano duchowieństwu katolickiemu zbyt wysoką skalę życia; nawoływano do prostoty obyczajów. „Marjawita" uchodził przez pewien czas za ascetę, a brak inteligencji zawodowej w szeregach marjawickich sprawiał, że duchowieństwo tej sekty uważano za bliskie ludowi i bardziej rozumiejące jego potrzeby. A potem przyszły procesy o obrazę moralności, sprawa mandolinistek i legenda szybko się rozwiała.

Bodaj że najbardziej popularną u nas ze wszystkich sekt była organizacja kościoła narodowego. Popierało ją (a zapewne i popiera dziś jeszcze) wiele wpływowych jednostek z pośród lewicy. Ruch, wywołany przez zwolenników kościoła narodowego, nigdy nie szedł w swym zapędzie reformatorskim tak daleko, jak ruch husycki w Czechach, posiadający świetne tradycje wiekowych walk o niepodległość. Poza pewnemi niewielkiemi różnicami, dzieli go od katolicyzmu kwestja języka liturgicznego. Czy głupstwo przestanie być głupstwem, jeżeli się je przetłomaczy z łaciny na polski? A czy pusty dźwięk, nie przemawiający do duszy ludzkiej, nabiera mocy, gdy będzie usłyszany w języku zrozumiałym? Wobec zupełnego braku zainteresowania ogółu sprawą języka liturgicznego, jest bardzo wątpliwem, aby sprawa ta mogła rozdwoić obóz katolicki. Jeżeli zaś chodzi inicjatorom o podniesienie ducha religijnego przez walkę o język w kościele, to czyż może być to oznaką postępu? Tam, gdzie różne narodowości prowadzą ze sobą boje o kazania w rodzimym języku (Litwa kowieńska lub powiat iłłuksztański), doświadczenie uczy, że przymieszka sporów narodowościowych przyczynia się jeszcze bardziej do spotęgowania fanatyzmu religijnego. I gdzież tu triumf postępu?

Rozmawiałem kiedyś z jednym człowiekiem bardzo poważnym, popierającym z całej duszy tak zwany kościół narodowy i innych do tego skłaniającym. Podniosłem w dyskusji wszystkie niemal wyżej przytoczone argumenty i dodałem, że nam obydwom jako ludziom, obywającym się bez religji, zależeć powinno chyba najmniej na wzroście wpływów sekty. Usłyszałem na to odpowiedź: „Nam to może nie potrzebne, ale im tego potrzeba. Nieraz w życiu organizowaliście strajk, choć nie byliście w jego powodzeniu bezpośrednio zainteresowani, bo chodziło o inny zawód. Wtedy wychodziliście z tego założenia, że trzeba zaspokoić ich potrzeby, które nie były waszemi. Róbcie to i teraz".

Analogja ta nieco kuleje. Gdy organizowałem strajk, rozumiałem dobrze, że to jest środek walki, który zasadniczo uznaję, choćby w danym wypadku mego interesu osobistego czy zawodowego nie dotyczył, i że zwycięstwo zbliża do realizacji maksymalnego ideału, a niepowodzenie hartuje w walce o tenże ideał. Tu tego niema. I czy się godzi, li tylko ze względów taktycznych podawać to za prawdę, co się samemu uważa za kłamstwo? Czyżbym nie stał się podobnym do naszego mieszczaństwa, które często argumentuje mniej więcej tak: „Mnie religja niepotrzebna, bo się bez niej obywam. Ale przy służącej mej swego zdania nie wyjawię. Bo jeśli ludziom odebrać religję, przyjdzie anarchja, bolszewizm i tym podobne rzeczy". Jeśli kult sił nadprzyrodzonych uważam za szkodliwy, niewolno mi go szerzyć w żadnej formie.

Byłem przed kilku laty obecny na pewnem zgromadzeniu publicznem, zwołanem przez kilku lewicowców, uważanych za protektorów kościoła narodowego. Przemawiało najpierw kilku mówców, przemawiających przeciw uroszczeniom kleru katolickiego do rządów w Polsce; poczem po kolei zabierali głos różni sekciarze. Najpierw mówił jakiś ksiądz z kościoła narodowego, stojący całkowicie na gruncie teologicznym, a potem jakiś robotnik z sekty badaczów pisma świętego, którego najwięcej interesował problemat, czy prorok Jonasz naprawdę został pożarty przez wieloryba, czy też całe to opowiadanie jest raczej symbolem? Słuchając tych wywodów, przeklinałem w duchu mówcę i życzyłem mu, aby to jego pożarł wieloryb, zamiast Jonasza. Potem przemawiał autentyczny ksiądz katolicki, używając w dyskusji bardzo zręcznych argumentów, jakich go kiedyś nauczono w seminarjum do walki z „heretykami". W rezultacie wszyscy byli zadowoleni: i dwaj czołowi mówcy, którzy się do syta wygadali, i ksiądz „narodowy", który swój kościół zręcznie w szerokiem audytorjum[2]) zareklamował, i niefortunny badacz strawności wieloryba, i ksiądz katolicki, który uważał się za zwycięzcę choćby dlatego, że w audytorjum, wrogo dlań usposobionem, wysłuchano go z zaciekawieniem do końca, i liczni przedstawiciele inteligencji, słuchający z uśmiechem zadowolenia, jak „lud", wychodząc, mówił: „Tych rzymskich mamy już dosyć". Niezadowolony byłem tylko ja i wielu towarzyszących mi ludzi, stojących na stanowisku zasadniczem.

Mybyśmy woleli, aby audytorjum całe doszło do przekonania, że nietylko „rzymskich", ale i przedstawicieli wszystkich kultów zbiorowych ma dosyć, i że im wszystkim pragnie przeciwstawić zasady wolności ducha ludzkiego, zrywającego z siebie pęta wiekowych omamień. Tego nikt z nas nie usłyszał wówczas i nie usłyszy dotychczas, dopóki niektórzy z naszych polityków, entuzjazmujących się sekciarstwem, stać będą na stanowisku naszego poety z XIV wieku, biskupa Gałki, czciciela Wikleffa, dowodzącego, że trzeba „zwalczać antychrysta", (t. j. papieża, jak to rozumiał Gałka) słowem „Jezu Chrysta".

[2]) A u d y t o r j u m — grono słuchaczy, lub poprostu: słuchacze (od łac. audio — słucham); oznacza także salę wykładową. Red.

Wszelkie angażowanie się ludzi czynu w spory sekciarskie w złudnej nadziei osłabienia tą drogą wpływów kościoła katolickiego uważam za szkodliwe. Spory teologiczne sekciarzy należy pozostawić im samym. Żadna z tych sekt czynnikiem postępu społecznego i umysłowego nie może być i nie będzie. Twierdzenie, że na tle tych walk sekciarskich coś ważnego się dzieje, jest szkodliwe, gdyż wytwarza w społeczeństwie wrażenie, że sprawy, o które się toczy spór, są głębokie i istotne. Czasy walk religijnych dawno minęły. Walki dzisiejszej doby toczą się w innej płaszczyźnie i o inne ideały. Nie wybijajmy klina klinem — unikajmy metod homeopatycznych w leczeniu przesądów. Wielkie rzeczy się dzieją na świecie i ziemia się pali pod stopami.

Stosunek do sekt może się ograniczyć zaledwie do zabezpieczenia ich przed prześladowaniami i to należy się wszystkim jednostkom i wszystkim mniejszościom narodowym czy wyznaniowym. Ale nic więcej. Zamiast małych walk sekciarskich czeka nas wielka walka o wyzwolenie ducha ludzkiego.

Jan Krzesławski

Czyście panowie przemyśleli to, o czem piszecie?

W Nr. 20 „Wiadomości Literackich“ zastanawia się p. Skiwski nad tem, czy przyszłość należy do „labusia“, jak nazywano u nas z francuska (l'abbé—opat) ksiądz, klecha, dygnitarza — karjerowicza kościoła katolickiego, czy do chrześcijanina z przekonań. Wypowiada tam zdanie, że „naczelnym zadaniem kościoła katolickiego jest praca nad zbawieniem dusz“. Zdaje się nam, że p. Skiwski się myli, przypisując to wyłącznie kościołowi k a t o l i c k i e m u, bo „dążą“ do tego nieistniejącego celu także kościoły: protestancki, kalwiński, marjawicki, prawosławny i t. d. Zdaje się nam dalej, że p. Skiwski chciał mówić o chrześcijaństwie wogóle, a zaczął mówić o katolicyzmie. Powiada dalej: „idea katolicka—jest to wielka idea. Na to zgadzają się wszyscy“. Przepraszam! Tak szerokiego mandatu do wypowiadania się w imieniu „wszystkich“ nikt nie dawał nikomu. Jest to przesada krasomówcza. Nie wiem, co takiego wielkiego widzi p. Skiwski w katolicyźmie. T o, c o g o o d d z i e l a o d i n n y c h w y z n a ń c h r z e ś c i j a ń s k i c h, t o p a p i z m, który powstał wbrew wyraźnym zastrzeżeniom Jezusa (Mat. XXIII 9): „I ojca nie zówcie sobie na ziemi, albowiem jeden ojciec wasz, który jest w niebiesiech“, nad czem katolicy przeszli do porządku dziennego i wybrali sobie „Ojca Świętego“ w Rzymie jako zastępcę i namiestnika „Boga na Ziemi“, co jest zwyczajną zarozumiałością. Ale może to raczej p. Skiw-

ski, mówiąc o katolicyźmie, miał na myśli naukę Jezusa, co oczywiście byłoby grubą nieścisłością, ale dość często spotykaną w czasach dzisiejszych bardzo płytkiego pojmowania chrześcijaństwa, co trafnie zostało przez p. Skiwskiego zauważone? Tu przypominam słowa czcigodnego nestora piśmiennictwa polskiego p. Aleksandra Świętochowskiego z tegoż n-ru „Wiad. Lit.", który natrząsając się z papiestwa i jego obłudnej dyplomacji, roztkliwia się nad naśladowcami Chrystusa, utrzymując, że są oni „jedynymi i najszlachetniejszymi rodzajami ludzi". Dlaczegóż to?

Czy może dzięki przykazaniu o miłości bliźniego, które jest hasłem wziętem z księgi (Leviticus XIX) 18, przytaczanem przez Jezusa, który wcale się za jego autora nie podaje? Ależ Jezus doktryną przez siebie głoszoną zaprzecza mu! Zapowiada tortury i skwierczenie w płomieniach piekła przez całą wieczność, bez żadnego przebaczenia, bez żadnej ulgi tym, którzy, jak np. ja, nie mogą uwierzyć w jego boskość, choć żyją uczciwie. Jest to wyrafinowane okrucieństwo! Na Ziemi bliscy Jezusowi są tylko Żydzi, kananejczyków porównywa do psów (Mt. XV 24), całe miasta, jak np. Kafarnaum wysyła do piekła (Mt. XI 21), żąda wyrzeczenia się rodziny, porzucenia mienia (Mt. VI 24, XIX 21), pragnie wprowadzić „miecz", czyli walki na ziemię i zastrzega się, że wcale nie zamierza być siewcą pokoju (Mt. X 35), wprowadzić pragnie rozstrój w rodzinach. Nazywa się człowiekiem pokornego serca (Mt. X 30), a jest zarozumialcem. Uważa się za większego od Salomona (Mt. XII 42), od Jonasza (Mt. XII 41), porównywa się z synem królewskim, którego nie obowiązuje płacenie podatków (Mt. XVII 25). Jest przekonany o swej wielkości, a nie umie przekonać swej rodziny i skarży się na to, iż jest w niej „bez czci" (Mk. VI 4).

Nie będę się rozpisywał o szczegółach etyki jezusowej, np. tak groźnych dla społeczeństw, jak nakaz niesprzeciwiania się złu (Mt. V 39), o niegromadzeniu skarbów (Mt. VI 19—20). O tem należałoby napisać co najmniej broszurę. Wszystko to są hasła w najwyższym stopniu szkodliwe, niezgodne z naszem życiem. Całe szczęście, że nikt ich konsekwentnie nie stosuje. Kto chce zaś widzieć jakby one wyglądały przy konsekwentnem zastosowaniu, ten niech czyta żywoty świętych Piotra Skargi. Ci święci to byli ostatni chrześcijanie. Dzisiejsi niemi nie są, choć się tak nazywają. Tu dopiero można poznać, do czegoby doprowadziła „jedyna prawdziwa etyka, której nas uczy Chrystus", a jak ją zaleca p. Antoni Bogusławski w „Kurjerze Warszawskim" z 8 maja 1932, poprzedzając artykuł p. St. Szpotańskiego, autora rozsądnych dotychczas artykułów, który w tymże numerze zapowiadając, że list pasterski ks. kardynała Augusta Hlonda z 23 IV 1932 stanie się „przedmiotem życiowych studjów", za jednym zamachem pióra stara się uporać z „materjalistycznym poglądem na świat",

przeciwstawiając mu widocznie jako odtrutkę chrześcijaństwo wogóle, a list prymasa w szczególności. Szkoda, wielka szkoda, że tak utalentowany pisarz jak Szpotański zapomina o epoce swej młodości, o czasach krakowskich, gdy to 13 maja 1912 w poniedziałek w nocy brał czynny udział w demonstracji. Gdzież to się podziała ówczesna jego ideologja, iż teraz p. St. Szpotański idzie rzekomo na idealizm chrześcijański, który ukrywa zwykłych snobów, ciągle prawiących o chrześcijaństwie, a którzy nigdy do ręki nie wezmą żadnego studjum chrystologicznego. Nie jest mojem zadaniem rozprawiać się z materjalizmem dziejowym, ale uważam, iż odegrał on inną rolę, niźli mu p. Szpotański przypisuje: wniósł dużo otrzeźwienia w umysły i wyprowadził je z zaduchu metafizycznego. Idealizm zawsze znaleźć można, ale nie przez powtarzanie z uporem „Galilee vicisti!“ w epoce, gdy trzeba będzie powiedzieć „Galilee rem perdidisti!“ (Galilejczyku, przegrałeś sprawę). Szkoda, że p. Szp. nie zapoznał się z zagadnieniem chrystologicznym w pracach Couchoud, Drewsa, Andrzeja Niemojewskiego „Filozofja życia Jezusa“ (Myśl Niepodległa“, rocznik 1912 Nr. 218 i następne), którą w czasach swych liberalnych widocznie przeoczył. Możeby mu wiele wyjaśniła to, o czem zdaje się dotychczas nie wiedzieć. Zamiast zarzucać materjalizmowi dziejowemu, że nie wyjaśnił wszystkiego, choć wyjaśnił wiele, możeby zawrócił z drogi, na którą ze swoją szkodą schodzi. Młodzież epoki bieżącej może znaleźć równie emocjonalne hasła, jak dawna, choć inne: może niem być hasło przygowania do rozdziału kościoła od państwa i obrócenia zaoszczędzonych skarbowi polskiemu 23 miljonów budżetu wyznań na rzeczy istotnie potrzebne, zamiast propagandy potwornej idei o grzechu pierworodnym, w który p. St. Szpotański chyba nie wierzy, choć mimo to uważa się niekonsekwentnie za chrześcijanina.

St. Asté

O nowe formy życia sportowo-społecznego

Z listów do Redakcji.

Katowice, w kwietniu.

...Ponieważ służycie hasłom wszelkiego postępu, nie będzie Wam obojętnym i nudyzm [1]), który właściwie nie jest niczem innem, jak tylko powrotem do form życia sportowo-społecznego, znanego jeszcze przed chrystjanizmem u Greków i Rzymian.

---

[1]) Nudyzm (od łac. nudus — nagi, goły, nieubrany), tak się nazywa krzewiący się od kilku lat na Zachodzie nowy ruch sportowo-hygieniczny, a w gruncie rzeczy etyczny, głoszący, że ubranie nasze ma służyć tylko do chronienia ludzkiego ciała od zimna i chłodu, a nie do tamowania dostępu powietrza i słońca, które dla zdrowia i sprawności

Powoli otrząsamy się z barbaryzmu chrześcijańskiego, i powracamy do wolności myśli. Dlaczego nie powracamy do starożytnych zwyczajów swobody ciała, która była równoczesną z kulturą ducha, do której nam dzisiaj daleko? Era kultury chrześcijańskiej wtłoczyła nas w niehygieniczne ubrania, z których nie wolno nam wychodzić na światło słoneczne pod groźbą kar. Nie wolno nam wystawiać swych ciał na dobroczynne działanie słońca, mimo, że to zostało uznane przez naukę jako dodatne dla naszego zdrowia. Czy długo jeszcze istnieć będzie takie zacofanie, przy równoczesnym bardzo wysokim stanie wiedzy medycznej? Dlaczego nasze ustawodawstwo nagina się do prawa kanonicznego zamiast dostosować się do zdobyczy wiedzy?

Nam wolno pokazywać słońcu tylko te części ciała, które go najmniej potrzebują, lub którym słońce może wręcz szkodzić (głowa). Natomiast nasze plecy i nasze piersi, musimy zakrywać kąpielowymi kostjumami. Położenie mężczyzn w tym wypadku jest o 50% lepsze niż kobiet, które muszą być całe zakryte przed słońcem i ludzkiem okiem.

Ale nagość oglądana codzień mogłaby spowszednieć nawet naszym księżom, którzy przez perwersję wolą, siedząc w konfesjonałach, słuchać cichych zwierzeń seksualnych w mrocznych nawach kościołów o „zakazanych czynach“ i „nieprzystojnem dotykaniu“.

My natomiast chcemy wrócić do natury, na łąki, pola i w lasy. Chcemy żyć ponad brzegami rzek i potoków — i kąpać się w czystej wodzie, czystem powietrzu i słońcu.

Dosyć mamy siedzenia po dusznych i smrodliwych miastach przez zimę, kiedy nas, niezamożnych mieszczuchów, nie stać na Zakopane, w którem i tak nie zmieścimy się wszyscy.

Dlaczego niema u nas w Polsce czasopism poświęconych nudyzmowi? Mało tego; nam na-

---

ciała jest niezbędne. W Niemczech, w Austrji, we Francji, w Holandji. w Ameryce istnieją już liczne związki zwolenników nudyzmu (nagości, lub nagostwa), które w pobliżu większych ośrodków miejskich mają swoje boiska i tereny sportowe, t. zw. polany, na których spędzają czas nago, oddając się sportom, kąpieli, gimnastyce (gimnastyka, gimnazjum, pochodzą od greckiego „gymnos“ — nagi; „gymnasion“ — szkoła ćwiczeń cielesnych i umysłowych zarazem). W razie zauważenia, że ktoś z obecnych przyszedł na polanę w innym celu lub zamiarze, niż hygieniczne spędzenie czasu, bywa grzecznie, lecz stanowczo wypraszany, Ruch nudystyczny rozporządza szeregiem specjalnych czasopism, b. ładnie i estetycznie wydawanych. O niektórych z nich wspomina nasz korespondent. Jednym z najbardziej znanych w Niemczech związków tego ruchu, jest „Liga für freie Lebensgestaltung“ (Liga wolnego kształtowania życia). Właśnie w następnym numerze naszego pisma mieliśmy zamieścić dłuższy informacyjny artykuł o tym ruchu. Dobrze się więc stało, że sami nasi czytelnicy domagają się poruszenia tej sprawy. W r. ub. zamieściliśmy na łamach „Wolnomyśliciela“ dwa artykuły prof. M. Wawrzenieckiego p. t. „Kult ciała“ (Nr. 21) i „Piękno i t. zw. „pornografja“ (Nr. 23), stawiające tę kwestję zasadniczo. *Red.*

wet nie wolno nic o tem wiedzieć, gdyż granica jest zamknięta dla tego rodzaju czasopism zagranicznych, których jest bardzo dużo. A przecież my i tak wiemy, że poza granicami naszego kraju zakwita nowe wolne życie. Na dziesiątki wydawnictw zagranicznych, przeciskających się do nas przez zieloną granicę, potrzebne jest nam chociaż jedno polskie czasopismo, miesięcznik jak np. niemieckie: „Soma“, „Das Freibad“, „Die Ehe“, „Ehekultur“, „Lachendes Leben“, „Der Leib“, „Pelagius“ lub półmiesięcznik jak „Figaro“. Powodzenie takiego czasopisma przynajmniej na Śląsku zapewnione.

Z tych czasopism dowiadujemy się o postępach nudyzmu w takich krajach jak np. Francja, Niemcy, Rosja, USA i t. p., gdzie ilość członków związków nudystycznych idzie w miljony. Zapoznać się z tym ruchem znaczy zapoznać się z dalszym przejawem wolnomyślności.

Nudyzm jest dotychczas jedyną praktyczną zdobyczą wolnomyślności — jest pierwszym kwiatem, zakwitłym na walącej się „etyce“ chrześcijańskiej. Ponieważ jesteśmy burzycielami tej etyki, powinniśmy tembardziej pielęgnować nudyzm jako widomy znak nowej czystej etyki — bez kłamstwa — przy pomocy odpowiedniego czasopisma, które powinno dążyć do niekaralności nudyzmu. Jako laik nie znam projektu nowego kodeksu karnego, który dla zgody z konkordatem uznaje zapewne nudyzm za przestępstwo [2]). Projekt ten powinien jednak odpowiadać duchowi czasu. Dlaczego mamy uchodzić zagranicą za kraj pogrążony jeszcze w inkwizycji? Czyżbyśmy jeszcze nie dorośli do nudyzmu?

Ze swej strony rzucam myśl, abyście założyli odpowiednie czasopismo, najlepiej półmiesięcznik, które propagowałoby nudyzm przy pomocy fotografij i artykułów o treści podobnej jak w „Figaro“ (niemiecki półmiesięcznik, wychodzący w Berlinie). Ja sam zobowiązałbym się dostarczyć Wam 12 fotografji na rok, formatu 6,5:9 cm całkiem gratis, dla poparcia czasopisma. Cena jednego zeszytu takiego czasopisma nie powinna przekraczać Zł. 1. Zagranicą prosperuje dobrze kilka czasopism tego samego rodzaju równolegle, — u nas tembardziej mogłoby prosperować jedno takie czasopismo. Tak samo jak „Tajny Dedektyw“ IKC wypycha ze Śląska powoli niemieckie czasopisma dedektywistyczne z rąk szoferów, kelnerów i t. p., mogłoby polskie czasopismo nudystyczne wypchnąć niemieckie, gdyby było postawione na odpowiednim poziomie artystycznym.

Projekt mój oddaję Wam pod rozwagę i mam nadzieję, że wcześniej lub później zostanie urzeczywistniony.

K. W. N.

---

[2]) W projekcie nowego kodeksu karnego tego rodzaju „przestępstwo“ nie figuruje. *Red.*

Kronika

Czary w pow. tomaszowskim. W powiecie tomaszowskim, województwa lubelskiego, wśród ludności wiejskiej do dnia dzisiejszego stosowane są następujące praktyki czarodziejskie:

Dla pognębienia przeciwnika gotuje się w wodzie własne szpilki do włosów, wymawiając zaklęcie „żeby ciebie pokłóło".

Dla spowodowania choroby u przeciwnika posypuje się jego ekskrementy rozpalonym węglem.

Narzeczony, zrywający z narzeczoną, dla odstraszenia innych ewentualnych konkurentów i dla wywarcia zemsty i złych skutków, wychodzi drzwiami, dotykając plecami drzwi.

Dla przywrócenia miłości narzeczonego lub męża, bierze się drewniany krzyż i wieczorem trzykrotnie dotyka się krzyżem ziemi wpobliżu domu, zamieszkałego przez narzeczonego względnie męża. Ten ostatni sposób „czarowania" był przedmiotem sprawy karnej Marjanny Buczek, osk. z art. 73 cz. II K. K. przed Sądem Grodzkim w Tomaszowie Lubelskim w dniu 29 kwietnia 1932 r. (N sprawy. Kg. 395/32).

Hiszpanja skreśliła wydatki na utrzymanie kleru. Kortezy uchwałą z końca kwietnia skreśliły w budżecie republiki wszystkie kredyty, przeznaczone na utrzymanie kleru, który przeszedł teraz całkowicie na garnuszek „łaski miłosierdzia" swoich parafjan. Wydatki te wynosiły za monarchji 67 miljonów pesetów[1]). Po powstaniu republiki zmniejszono je do 43,5 milj, a obecnie cały ten niepotrzebny wydatek skreślono zupełnie i obrócono na szkolnictwo i pomoc dla bezrobotnych. Dowodzi to, że młoda republika hiszpańska z każdym dniem coraz bardziej mądrzeje, czego znów o Polsce powiedzieć nie można. Polska woli obcinać pensje wdowie i renty inwalidzkie, niż skreślić chociażby jedną złotówkę zaświatowym wydrwigroszom, którzy jej za to buntują obywateli.

Z powodu tego „niezgodnego z etyką katolicką" zarządzenia, papież rzucił garść grochu o ścianę,czyli „ostro zaprotestował", a 35 tysiącom swego kleru w Hiszpanji (tyle tam tego tałałajstwa jeszcze zostało) posłał ojcowskie błogosławieństwo. Niech je ugryzą.

Skoro już mowa o Hiszpanji nie od rzeczy będzie wspomnieć i o tem, że jeden z robotników hiszpańskiah spoliczkował w Marsylji b. króla Alfonsa, ostatniego tyrana Hiszpanji, gnębiciela myśli wolnej, mordercę Ferrera i wielkiego dobrodzieja kleru.

I w Indjach płoną kościoły. Od pewnego czasu doszło w Indjach do walk religijnych pomiędzy hindusami a mahometanami. Jest wielu zabitych i rannych, przyczem kilka świątyń hinduskich poszło z dymem. Władze wydały szereg zarządzeń dla zapobieżenia starciom. Hindusom zabroniono przechodzić z muzyką obok meczetów, a mahometanom zabijać krowy na placach publicznych. Krowa jest jednym z dawnych totemów hinduskich i jest uważana dotąd za nietykalną świętość. Stąd jeżeli ktoś chce powiedzieć hindusce najpochlebniejszy komplement, mówi jej: „wygląda pani dziś, jak krowa"!

Mimo tych zarządzeń rozruchy wybuchają z lada powodu.

Tow. przyjaciół Kasy Mianowskiego. W dniu wydania encykliki hlondowej (23/IV) do katolików, aby bojkotowali ustawy państwowe, nieidące na rękę „naszym okupantom",zostało zawiązane w Krakowie Tow. Przyjaciół Kasy Mianowskiego.

Nazajutrz, w dniu 24 kwietnia, w auli Uniwerstytetu Jagiellońskiego, odbyła się uroczysta akademja, zorganizowana przez Akademję Umiejętności, Uniwerstytet Jagielloński i Tow. Naukowe Krakowskie,

---

[1]) Peseta — 73 grosze. 67 mil. pes. = 48.910.000 zł. 43,5 mil. pes. = 31,755.000 zł. Hiszpanja ma 25 miljonów ludności.

w celu uczczenia 50-letnich zasług Kasy Mianowskiego. Podobne „święto nauki polskiej“ odbyło się w Wilnie w dn. 18 V. Są to dalsze powtórzenia uroczystości warszawskich, o których pisaliśmy w Nr. 6 W. P. z r. b. (str. 179).

Belgja przeciw papieskiej szarańczy. Jak donosi „Express Porancy“ z dn. 13 V. w Brukseli odbył się wiec protestacyjny przeciwko najazdowi na Belgję wypędzonych z Hiszpanji jezuitów. Prócz „Wolnomyśliciela Polskiego“ nikt w Polsce przeciwko tejże inwazji na nasz kraj nie zaprotestował.

Cerkiew a Kościół. Kler prawosławny w Grecji wyraził gotowość oddania swoich bogactw na rzecz skarbu państwa greckiego. Ponieważ w prasie polskiej pojawiły się lekkie aluzje z tego powodu skierowane pod adresem kleru katolickiego, KAPra oświadczyła, że skarbce kościelne w Polsce są biedne i wogóle nic wartościowego nie mają; nie warto więc na nie liczyć.

A pisaliśmy niedawno o poznikaniu z jednego ze skarbców kościelnych co cenniejszych przedmiotów. Gdyby tak dobrze poszukać, to kto wie, czy część złotych przedmiotów z Polski nie znalazłaby się przypadkiem w złotym aparacie telefonicznym papieża.

Śluby cywilne w Czechosłowacji. Republika czochosłowacka, która w dziedzinie ustawodawstwa małżeńskiego rządziła się dotąd trzema kodeksami zaborczemi (Polska ma ich pięć): austrjackim, węgierskim i niemieckim, przygotowała obecnie projekt własnego jednolitego prawa małżeńskiego, dla całego państwa, ze ślubami tylko cywilnemi. Kler katolicki pod wodzą arcybiskupa praskiego Kaspara wszczął z tego powodu właściwy sobie a dobrze nam znany harmider protestacyjny. A powód? Wiadomo: „moralność w niebezpieczeństwie“, „masonerja“ „bolszewizm“, „psie wesela“, „konkubinaty,“ „małżeństwa na próbę“, „zburzenia rodziny“, „zabijanie niemowląt“, „co miesiąc nowa żona“ i t. d. i t. d. ponieważ... ślub cywilny będzie kosztował tylko 20 koron (15 zł.).

Prawa wyborcze kobiet francuskich. Pod obrady wybranego w ub. m. nowego parlamentu francuskiego ma wejść niebawem projekt prawa o nadaniu kobietom francuskim czynnego i biernego prawa wyborczego. Projekt ten jest bardzo życzliwie omawiany przez prasę klerykalną, która spodziewa się po nim wielkich dla siebie sukcesów, ponieważ kobieta francuska, przez swój brak wyrobienia politycznego, odda niewątpliwie znaczną część głosów na listy wrogów republiki, czyli kleru. W Polsce zresztą jest to samo.

Dwa wezwania na pomoc. Ostatnio rozległy się w Polsce jednocześnie dwa nawoływania: „Ratujcie Bibljotekę jagiellońską!“ „Ratujcie bazylikę wileńską“. Czytelnicy nasi będą sami wiedzieli, który z tych gmachów poratować.

Barcelona wzniesie pomnik Ferrerowi. Rada m. Barcelony uchwaliła wznieść pomnik Franciszkowi Ferrerowi, ostatniemu męczennikowi Myśli Wolnej, którego jezuici wraz z Alfonsem XIII, b. królem z łaski bożej, uwięzili i kazali rozstrzelać w forcie barcelońskin Montjuich 13. X. 1909 r.

Święto młodzieży racjonalistycznej. Jak co roku, odbyło się w Brukseli w d. 16 maja święto młodzieży racjonalistycznej, organizowane przez wolnomyślicieli belgijskich.

Obrót. Wg. „Wiadomości statystycznych“ Głównego Urzędu Statystycznego R. P. było w Polsce w r. 1931 okrągło: urodzeń 984 tys., zgonów 512 tys., małżeństw zawartych 273 tys. Licząc skromnie po 10 zł. za chrzest, po 100 zł. za pogrzeb (bez pokładnego), a po 50 zł., za ślub dało to klerowi 75 miljonów zł. dochodu. A ile on zainkasował za msze żałobne. za wotywy dziękczynne?... ile zgarnął gotówki z odpustów, ko-

lend, z wypominków, z kongresów, ze zjazdów?... ile ukwestował na tackę, ile miał dochodu z majątków i z gruntów parafjalnych? ile miał z bractw, ze stowarzyszeń dewocyjnych, z akt stanu cywilnego i t. p. tego nikt nie policzy. Wyniesie to, lekko licząc, wraz 24 miljonami, wypłacanemi z budżetu Państwa, co najmniej drugie 75 miljonów, czyli razem 150 miljonów. Od tego „obrotu" uprzywilejowany motłoch zaświatowy nie zapłacił Skarbowi Państwa ani grosza podatku — ani dochodowego, ani majątkowego — bo on tylko z tych podatków czerpie, ile wlezie. A ile wydusi pieniędzy z wierzącej ciemnoty polskiej w formie składek przymusowych i „nadzwyczajnych", na rzecz kościoła, to tego nawet Urząd Statystyczny nie obliczy. To też kler musi być bardzo czujny na punkcie „moralności", aby mu tych wszystkich dochodów nie odjęto. Zwłaszcza, aby propaganda „świadomego macierzyństwa" nie czyniła zbyt wielkich postępów.

150 miljonów zł. Polska „buli" co roku za nic, rzuca te pieniądze w błoto szamaństwa i kupuje za nie swoich wrogów.

„Przegląd katolicki" (Nr. 20) pisze słusznie na str. 316: „A tłum wierzy każdemu kuglarzowi, byle tylko z zuchwałą miną zachwalał swój interes". To też zachwalany przez zaświatowych kuglarzy z ambony interes idzie — jak żaden inny.

Inne państwa cywilizowane już to zrozumiały, że „interes" kuglarzy nie jest interesem publicznym. Zrozumiała to już nawet Hiszpanja. A kiedyż to zrozumie Polska, zwana od niedawna Hiszpanją Północy? bo dziś Polski już nawet Hiszpanją Północy nazywać nie można.

Mamy wrażenie, że warto się nad tym niepotrzebnym wydatkiem zastanowić. I to nie raz — lecz należy o nim stale pamiętać.

Trefno-koszerne zmartwienia żydów wolbromskich. W Wolbromiu, w cichej, spokojnej mieścinie w pow. olkuskim, zawrzało nagle, jak w ulu. Cóż się stało? Czy pomór spadł na miasto głośnej w XVIII wieku „Pani starościny wolbromskiej"? [1]) Czy Pokrzywnica wystąpiła z brzegów i zalała osiedla ludzkie? Czy jaki nowy podatek nałożono? Czy może jeszcze jedna solidna firma zbankrutowała?.. Nie! chodziło o coś bezpośrednio ważniejszego, a mianowicie o to, czy mięso krowy, którą zarżnął rzeźnik X, a nie rzeźnik Y lub Z jest koszerne, czy też trefne? Oto, jak donosi „Hajnt" z 28 II, który rozpisał się o tem b. drobiazgowo, w Wolbromiu było trzech rzezaków, opłacanych przez gminę żydowską. Naraz zachciało się „Agudzie", stronnictwu ortodoksyjnemu, sprowadzić do Wolbromia czwartego rzezaka z Olkusza. Członkowie gminy żydowskiej w krzyk: „Nie chcemy nowego ciężaru! Poco czwarty? Tych trzech nam wystarczy!.." Rozpaczliwe to wołanie doszło do uszu dostojnego rabinatu, który nie pozwolił bogu ducha winnemu olkuszaninowi na wykonywanie tak ważnych w życiu narodu wybranego czynności. Rzecz jasna, że każda krowa, każde ciele, każda gęś, każda kura, którą ten niezaaprobowany przez rabinat mistrz z Olkusza zarznie, jest trefne i niejadalne jak padlina w rozkładzie, a każdy bogobojny garnek, który zetknął się z takiem trefnem mięsem, musi być poddany bardzo skrupulatnemu wykoszerowaniu. Gosposie w konsternacji, w kuchniach piekło nie do opisania, pod olkuskim mistrzem rytualnego uboju ziemia się zapada. Ale „Aguda" nie śpi. Przekłada, argumentuje, tłumaczy; parlamentarjusze biegają tam i z powrotem. Rabinat śle nowe orędzie i nowe listy pasterskie. Wreszcie odwrót na całej linji. Olkuszanin otrzymuje, jak konsul, upragnione exequatur od rabinatu, a zarżnięte przez niego krowy, cielęta, gęsi i kury w jednej chwili stają się jadalne i godne koszernego garnka. Wolbrom odetchnął i stał się znowu cichą i spokojną mieściną powiatu olkuskiego. Oby tylko ważniejsze kłopoty nie zasępiły jego czoła!

Oto takie miewają starozakonni zmartwienia i troski w XX w., pozwalający bogom swoim zaglądać do garnków kuchennych. Trzeba przyznać, że takich trosk już nie miewają „nowozakonni", chociaż i ich bóg też zastrzegł sobie „whlond" w garnki i miski — w dnie piątkowe „suche" i „krzyżowe" oraz w czasie wielkiego postu. Mamy wrażenie, że

[1]) Urszuli z Morstinów Dembińskiej.

kurje biskupie jużby dziś nie zwoływały synodów djecezjalnych z tego powodu, że ktoś jada w poście z mięsem, lub gotuje mleko w garnku, w którym wczoraj gotował się rosół z kury.

Mimo to i ci biedacy miewają kłopoty niemniej ważne i nie mniej od wolbromskich niepokojące. Oto: czy msza słuchana przez radjo jest pod względem doniosłości mistycznej równoznaczna ze mszą słuchaną w kościele, czy nie jest. „Postęp“ jest tu szalony! Bo co radjo, to nie garnek. Tylko głupstwo, niestety, jest jedno, choć rodzaje jego ujęć tak różne. A nam właśnie chodzi o to, aby tego rodzaju głupstwa przestały ludzi nareszcie niepokoić bez względu na formę, w jakiej się przejawiają.

Wszystko można wytłumaczyć. „Kurjer Warszawski“ z 25 lutego 1932 Nr. 56 donosi: „W parafji św. Aleksandra, przy ul. Książęcej, przychodził od kilku dni na nauki religijne, przygotowując się do przyjęcia katolicyzmu, 72-letni Żyd Ele Laborycki (Stare Miasto 1). Wczoraj o g. 6-ej pp., już po akcie chrztu, Laborycki nagle zaniemógł na serce i przed przybyciem lekarza pogotowia zmarł“.

Chrześcijanie powiedzą na to:

— Prawdziwa łaska Boska! Pójdzie prosto do nieba!

Izraelici powiedzą:

— Prawdziwa kara Boska! Takie to są skutki odstępowania od wiary przodków.

Niechże teraz każdy wybiera wyjaśnienie, jakie woli. Ciekawe tylko, coby na to powiedział muzułmanin. Prawdopodobnie: — Takie przeznaczenie!

Lekarz Pogotowia powiedział prawdopodobnie:

— Zwyczajna skleroza serca, które nie wytrzymało wzruszenia.

O rozwalaniu łba krucyfiksem. W n-rze 324 z 25 listopada 1931 „Kurjera Warszawskiego“ pisze p. Stanisław Szpotański o pośle Ledóchowskim:

„W ciągu życia zajadły nieprzyjaciel duchowieństwa, wielki w kwestjach religijnych liberał i niedowiarek, przed śmiercią się wyspowiadał i do odwiedzających go rodaków przemawiał:

— Tak silnie dzisiaj wierzę, że gdyby kto przedemną chciał bóstwu Chrystusa Pana zaprzeczać, umierającą dziś ręką, tym oto krucyfiksem łebbym mu rozwalił.

Umarł w Paryżu dnia 10 września 1864 r. i pochowany został na cmentarzu Montmartre“.

Jak to dobrze, że już nie żyje w czasach dzisiejszych ten eks-nie (do)wiarek. Miałby ciężką robotę! I to się nazywa „chrześcijańską miłością bliźniego“ — „rozwalanie łbów krucyfiksem“.

Z prasy

O JUŻ WYDANYCH I ZAPOWIEDZIANYCH DEKRETACH KRÓLOWEJ POLSKI. Jak wiemy, monarchizm w dzisiejszych czasach jest lekką i naogół nieszkodliwą formą obłędu. Podobno zrodził się on z mistyczno-atawistycznych (dziedzicznych) tęsknot aktorów jasełkowych i członków Klubu myśliwskiego, którzy siadając do zielonego stolika nie mogą nie wzdychać do króla i królowej, gdy im to jest potrzebne do wygrania partji. W ten sposób miał się zrodzić w Polsce monarchizm, którego hasła głoszą „Szczerbiec“ i „Monarchista“. O ile jednak monarchistyczni poszukiwacze dnia wczorajszego w Polsce nie zapędzają się zbytnio na skrzydłach swego nieszkodliwego obłędu w rejony „tam-

tego świata", o tyle żeński odłam tych fiksatów buja sobie na całego po zaświatach i tam doszukuje się kandydatów na tron polski.

Przekonywa nas o tem ich organ, „*Królowa korony polskiej*", wydawany w Krakowie pod redakcją p. Jadwigi Karskiej. Polska miała, jak wiadomo, swój „potop", opisany przez Sienkiewicza. „Potop" ten był charakteru monarchistycznego, bo Wazowie szweccy przyszli wybić z głowy Wazom, panującym w Polsce, aby się napróżno nie tytułowali królami Szwecji, gdyż ich, jako katolików, luterańska Szwecja wcale nie pragnie. Fale „potopu" po pewnym czasie ustąpiły, uspokojone oliwą traktatu, zawartego w Oliwie (1660). Dynastja Wazów polskich zrzekła się wtedy swoich pretensyj do Szwecji, a Polska zrzekła się na jej rzecz Inflant zadźwińskich. I odtąd nie mieliśmy ze Szwecją żadnych zatargów, bo późniejsza wojna Augusta II z Karolem XII miała już inne podłoże i charakter jej był raczej dla Polski życzliwy.

Z wymienionego miesięcznika monarchistek polskich dowiadujemy się, że Polskę zalał obecnie nowy potop:

„morze zła i przewrotności, którego rozszalałe fale usiłują zniszczyć wszystko, co po dziś dzień uważano za rzecz świętą".

Monarchistki nasze nie twierdzą stanowczo, że chodzi tu o rzecz istotnie świętą, a tylko o rzecz „uważaną" za świętą. Określenie naszem zdaniem b. słuszne. Pozostając całkowicie pod sugestją zdrady przeora Kordeckiego, monarchistki polskie uważają, że ówczesny „cud nad Wisłą", czyli pogrom szwedów, sprawił obraz jasnogórski, za co został awansowany na „Królowę korony polskiej". Czytamy więc w „Królowej korony polskiej":

Teraz tak, jak i za potopu Szwedów jedyny ratunek dla Ojczyzny naszej może spłynąć z jasnogórskiego tronu Bogarodzicy — Królowej Polski, tylko musimy znowu, jak nasi pradziadowie stać wiernymi poddanymi naszej niebieskiej Królowej.

a wszystko będzie dobrze, tak jak wówczas, gdy

na zegarze dziejowym, przed piętnastoma dziesiątkami lat wybiła dla nas Polaków straszna chwila, gdy trzy mocarstwa europejskie wbijały gwoździe w wieko trumny, w której legła nasza nieszczęsna Ojczyzna...

„Nieszczęsna", pomimo, że miała taką wszechmocną Królową! I z tej trumny nie byłaby się nigdy wydostała, gdyby nie

został się ktoś, kto uważał się nadal za legalnego i niedosiężnego władcę naszej Ojczyzny — Królowa Polski, Matka Najświętsza...

Dowiadujemy się dalej, że „Królowa korony Polskiej" chce, aby Wielkanoc była świętem nieruchomem, najlepiej w połowie kwietnia, bo

Kościół święty słusznie połączył datę święta Zmartwychwstania Pana Jezusa z budzeniem się przyrody do życia.

„Królowa korony polskiej" widocznie tego nie wie, że Wielkanoc jest tylko schrystjanizowaniem pogańskiego kultu

zmartwychwstającej z zimowej śmierci przyrody w momencie, gdy przed wiekami słońce wstępowało w znak Barana (stąd baranek wielkanocny).

„Królowa korony polskiej" w dalszym ciągu chce, aby rezurekcje odbywały się w niedzielę pom. 4—5 rano i aby ludzie raczyli wobec tego „wcześniej wstać raz do roku", co wpłynie

„na pobudzenie większej pobożności" w „narodzie".

Dalej „Królowa korony polskiej" domaga się, aby wyrostki nie strzelały na Wielkanoc z calichloricum, aby lud polski

budował nawet w najmniejszych wioskach kościoły, kapliczki przydrożne, krzyże, otaczał je jak największą miłością i opieką... uchylał przed nimi kapelusza,

bo to jest najlepszem lekarstwem na „zwalczanie bezbożności w zarodku, a co za tem idzie i komunizmu.

„Królowa korony polskiej" chce dalej, aby dziewczynkom nie dawano jak w dawnej Kongresówce imienia Marja, lecz tylko „Marjanna", tak jak to robi „pobożny, niezepsuty lud nasz" „na Pomorzu". (str. 5—6).

Wreszcie na str. 8 mamy następujące, a dobrze świadczące o poziomie umysłowym monarchistek

P o d z i ę k o w a n i e. Matce Najświętszej — Królowej Korony Polskiej za udzielenie łaski p o m y ś l n e g o u k o ń c z e n i a s t u d j ó w u n i w e r s y t e c k i c h — składam korne podziękowanie — Zofja Kossowa,

co tylko dowodzi, że „Królowa korony polskiej" zamierza robić konkurencję „Rycerzowi niepokalanej", bo i tu mamy takie ogłoszenie, jak:

...proszą Matkę Najświętszą: o zdrowie 5 osób; o powodzenie w życiu 5 osób; o błogosławieństwo 3 osoby; o spokój w życiu 2 osoby..

Naogół jest to niewiele.

Głosy czytelników

Z WILEŃSZCZYZNY

A jednak wieśniak otwiera już oczy

Dwa lata temu kupiłem sobie radjo-odbiornik. Solidna czterolampówka, więc grzmi, aż szyby brzęczą! Dozorca szkolny, opieszały poprzednio w spełnianiu swych obowiązków, zgłasza się samorzutnie, pytając o zlecenia. Myślę, co mu się stało? Skąd raptem taka gorliwość? Rzecz naturalnie się wyjaśniła. To radjo.

Postanowiłem urządzić ucztę dla mych dzieci. Rzecz łatwa. Ponieważ mieszkałem w szkole, więc otwór w ścianie, sznur do klasy i już głośnik na stole. Mój krótki wstęp i Natanson zaczyna pogadankę przed koncertem szkolnym z Filharmonji.

Silne, niezapomniane wrażenia!

A wieczorem spłaszczone o szyby nosy dorosłych. Widocznie i oni dopominają się o swoje prawa?

Przez kilka dni jeszcze zaostrzam ich ciekawość i wreszcie przed niedzielą mówię dzieciom półgębkiem, że jeżeli kto chce ze starszych posłuchać, no... to niech przyjdzie.

Istna wędrówka narodów! Po kostki w błocie brnęli z wiosek o 10 — 12 km. odległych. Frekwencja, jakiej pozazdrościłyby nasze teatry. W wyniku: b. ożywione lecz niemniej naiwne dyskusje oraz liczne prośby o wyjaśnienia.

I tak często bywało w jesieni i zimą.

Aż razu pewnego musiałem przyjąć... delegację. Tak!

Posłyszeli, że w dni świąteczne transmitują nabożeństwa, a więc zgłasza się Z. B. jeden z katolików, prosi o ten „luksus". Pierwszej niedzieli zebrała się spora gromada. Byli i katolicy i prawosławni, kobiety i mężczyzni. Kobiet więcej jednak, choć i mężczyzn sporo.

W wyniku pierwszej tego rodzaju audycji, prawosławni proszą o coś podobnego, lecz z cerkwi. Gdy się dowiedzieli, że to nie jest możliwe, więc ciężkie westchnienia, chwilka rozmyślań i takie słowa: „Panie kierowniku, czemu to dla nich katolików nadają, a dla nas nie?" Byłem w kłopocie, a jednak czy nie mieli oni słuszności?

Przyszła wiosna i głośnik przemawiał, grał, stojąc na oknie. Tłum na ulicy i cisza. Wszystko, co może chodzić, przychodzi i słucha.

Wreszcie po uporządkowaniu spostrzeżeń postanowiłem zrobić malutkie doświadczenie. Otóż kilka niedziel z rzędu nadawałem tylko same nabożeństwa. Widzę, że liczba prawosławnych na ulicy zaczęła się zmiejszać, aż w końcu nikogo już z nich nie zostało. Katolicy jednak jakiś czas się trzymali. Lecz gdy zobaczyłem wreszcie litylko dwie kobiety na ganku, przytulone do słupów, wywnioskowałem, że nad nabożeństwem przez radjo należy przejść do porządku dziennego.

Wróciłem do rzeczy naturalnych. Pogadanki rolnicze, odczyty, muzyka szczególnie ludowa i znowu tłum, aż sztachety przy ogródku trzeszczą pod naporem zainteresowanych. I to zjawisko już stało się chronicznem. Czego to dowodzi? Tylko tego, ze „czarne kruki" gonią resztkami sił, że twierdza obskurantyzmu, głucha zapadła wieś, mimo wszystko nie jest już ich domeną. Pajęczynę z mózgów, kataraktę z oczu duch czasu zwolna usuwa.

Ten chłop zmęczony swoją nędzą, zgnębiony stosunkami obecnie panującemi, stęka, zaczyna patrzeć i słuchać i po swojemu wnioskuje. Szuka poomacku przyczyn zła i widzi zgraję pasorzytów, żerujących na jego niedoli.

Przecież przed wojną nie było większego autorytetu — i to w każdej dziedzinie — dla chłopa, jak ksiądz. I niechby ktokolwiek ośmielił się powiedzieć coś o „dobrodzieju" —

wówczas biada mu! Mówiąc bez przesady, najlżejsza wzmianka o malutkiej nawet niewłaściwości takiego „pana“, groziła wcale poważnemi konsekwencjami. A teraz?

Teraz w przygodnej pogawędce na tematy związane z religją, chłop na wywody teoretyczne, sypnie faktami jak z rękawa. Aż miło słuchać! Przytem nie trzeba wcale zachęcać, tylko rozpocząć, a on niejeden b. ciekawy obrazek poda do wiadomości, nie szczędząc dosadnych, a opartych na faktach i nacechowanych lekceważeniem, określeń.

Już chłop księdza lekceważy i to w sposób dość daleko posunięty. Na potwierdzenie tego — faktów nie brak. Z tego wynika, że autorytet księdza na wsi jest bodaj więcej niż problematyczny i to tylko w jego wyobraźni, bo rzeczywistość potwierdza na każdym kroku brak tego autorytetu. To wysokie u chłopa przed kilkunastu laty poważanie, ksiądz przez swoją zachłanność i głupotę obalił, a teraz poniewiera i grzebie. I to gruntownie!

Nam pomóc im w tem wypada. Róbmy, co kto i ile może. Naukowiec niech da popularną literaturę, inteligent pracujący na wsi żywe słowo, a jeszcze my doczekamy tej chwili, gdy kler zaśpiewa swoją łabędzią pieśń i pozostawi po sobie tylko niesławną pamięć.

Andrzej Zan

Z książek

SŁOŃCE I MOTYKA

X. Charszewski, SŁOŃCE SZATANA, wyd. Neumana i Tomaszewskiego. Włocławek, 1932. str. 146, z podobizną autora, cena zł.

Jest to prostaczy pamflet proboszczowski na książkę dr. Swieżawskiego p. t. „Bóg-Rozsądek“. Od szatanów, satanistów, masonów, żydów, bolszewików i wolnej miłości (jedynej, jaką kler katolicki uprawia) aż się roi. Zamiast argumentów mamy wyświechtane ambonowe frazesy, wyzwiska i insynuacje. Na wszystkie te brednie trudno byłoby odpowiadać. Poruszymy tylko niektóre jego wyznania. Na str. 65 autor stwierdza formalną identyczność katolicyzmu z bolszewizmem, bo jeden i drugi jest dogmatyczny, nietolerancyjny, karny, krwawy, dyktatorski, inkwizycyjny, i jeden i drugi nienawidzi liberalizmu i demokracji. „Moskwa bolszewicka, to djabelski Rzym“. Różnią się tylko tem, że ateizm bolszewicki jest „fałszywy“, a ateizm katolicki „prawdziwy.“ Bolszewizm jest zbrodniczy, jest zaprzeczeniem moralności, gdy katolicyzm wyprodukował taką masę świętych, że ich w kilku kalendarzach pomieścić nie można, co dowodzi tylko wielkiej jego żywotności. A jeżeli moralność krajów katolickich jest naogół nieszczególna, pomimo spowiedzi,

która jest „szkołą świętości" (str. 71), winni są temu „żydzi, posiadający sztukę zarażania narodów" (str. 77). Bo kościół katolicki choć posiada „skarby wychowawcze nieskończonej wartości", ale z tego nic dobrego w rezultacie nie wychodzi, bo z jednej strony żydzi, z drugiej masoni, z trzeciej bezbożnicy, z czwartej schyzmatycy i sekciarze, a w środku ksiądz, obcujący ze „skażoną" grzechem pierworodnym naturą ludzką. Dowiedzieliśmy się przytem, że obrzezanie u żydów nietyle jest „znakiem przymierza" z Jehową, czyli z bogiem-ojcem chrześcijaństwa, co znakiem satanizmu, czyli antichrystjanizmu (str. 140). Zgadzamy się jednak z x. Charszewskim, że obrzezanie jest „skandalem 20 wieku", choć za takiż sam „skandal 20 wieku" uważamy chrzest, kler, konkordat, naukę religji w szkołach i wiele jeszcze innych rzeczy objawionych i nieobjawionych. W odpowiedzi na zarzut nietolerancyjności, ks. Charszewski odpowiada (str. 62): „każdy dogmat... jest nietolerancyjny względem dogmatów odmiennych". Mam wrażenie, że to wystarczy, aby przyznać słuszność wrogom dogmatów. „Dogmat — powiada ks. Ch. — wogóle jest postulatem rozumu". Tylko czyjego? Przecież nie tych, którzy w niego wierzą. To są tylko postulaty „nieczystego" rozumu tych, którzy te dogmaty tworzą w wiadomym dobrze celu. Najwięcej jednak napsuła ks. Ch. krwi statystyka kryminalna Niemiec, wg. której przestępczość wśród bezwyznaniowych jest pięć razy mniejsza, aniżeli wśród katolików. To się ks. Ch. w głowie pomieścić nie może, ażeby ateusz miał być moralniejszy od katolika. Orzekł więc, że te cyfry chyba „sam Belzebub układał" (str. 73). Ateusz wg. kategoryj myślowych różnych xx. Charszewskich nie może nie być zbrodniarzem i nie uprawiać wolnej miłości. No i tak dalej w tym samym duchu.

Rzecz się kończy pochwałą papieża i przestrogą dla Polski, aby zaopatrzyła się zawczasu w katolickie parasole przed słońcem szatana, które za naszą wschodnią granicą doszło już do zenitu i grozi porażeniem ciemnych mózgów, z których żyją w Polsce dostatnio różni ks. Charszewscy, wyczekujący „z trwogą" „wybuchu Wielkiego Przesilenia religijnego, społecznego i politycznego, które świat przeczuwa" (str. 145). Co do nas i my tego „przesilenia" wyczekujemy, tylko, że bez trwogi. Autor tem się tylko pociesza, że „Bóg-Rozsądek", jako książka, jest „za wielki i za drogi (kosztuje 10 zł. czyli tyleż, co ślub świecki wraz z aktem małżeństwa), aby mógł trafić pod strzechy", bo inaczej mogłoby z klerem być gorzej — no, i że jest „zbyt obciążony erudycją", którą którą ks. Charszewski zakwalifikował, jako „fałszywą", bo nie jest zgodna z katechizmem (str. 138). Z tego wniosek, że obóz okupancki boi się raczej małych, tanich, popularnych wydawnictw wolnomyślicielskich, mogących łatwiej trafić do ludu.

Rozprawiając się z dr. Świeżawskim, autor nie pominął również i Lutra i Kalwina i marjawitów i Hodura i Boya-Żeleńskiego i prof. Kotarbińskiego i prof. Spasowskiego i Komisji Kodyfikacyjnej i innych pomniejszych „dzieci szatana", w którego dr. Świeżawski ani rusz nie chce uwierzyć (str. 67). Co więcej: dostało się nawet profesorom Uniw. Krak.: Ignacemu Chrzanowskiemu i Wł. Gołębskiemu za to, że nie zachwycili się katolicką „Historją filozofji" A. Stöckla i Weingertnera, przełożoną prawomyślnie przez jezuitę Kwiatkowskiego (str. 69). Dowodzi to tylko tego, że blask słońca szatana dociera już nawet do wszechnicy jagiellońskiej; maluczko, a stanie się ona Synagogą.

Jednem słowem, aby się uśmiać i przekonać o wartości i „mocy" argumentów „antyrozsądkowych", należy tę składaną przez cały rok (str. 145) wypocinę plebańską „wziąć i przeczytać", jak głosi okładka. Widocznie sami zecerzy wstydzili się składać tego rodzaju „prochrystycznej" bzdurki. „Bóg-Rozsądek" stoi nadal, jak stał.

H. Wr.

„DZIEJE KULTURY POLSKIEJ" POMNIKOWA PRACA PROF. BRÜCKNERA.

Aleksander Brückner. DZIEJE KULTURY POLSKIEJ, tom I str. 653, tom II str. 660, tom III 776, Kraków 1930, 1931. Nakład Krakowskiej Spółki Wydawniczej, cena zł. 60.

Wprost nie chce się wierzyć, aby tę monumentalną pracę mógł wykonać jeden człowiek. Ileż ten niezmordowany badacz naszej kultury musiał przeczytać, przestudjować, przemyśleć, aby dać w rezultacie takie arcydzieło erudycji i syntezy. Odtąd żaden dziejopis naszej kultury nie będzie mógł przejść obojętnie obok pracy prof. Brücknera, tak jak żaden z lingwistów polskich nie będzie mógł pominąć jego „Słownika etymologicznego", wydanego przed trzema laty przez Ossolineum, a żaden z historyków naszej literatury — pierwszego tomu jego „Literatury polskiej w zarysie". Żaden chyba z lingwistów i historyków naszej literatury nie przeczytał tyle staropolskich druków i rękopisów, co ten świetny znawca naszego języka i naszej przeszłości literackiej. Zostawszy w r. 1880 profesorem języków i literatur słowiańskich na uniwersytecie berlińskim, prof. Brückner (ur. 1556) pierwszy zwrócił uwagę na wysokie walory naszej literatury nowowierczej XV i XVI stulecia, które chciano zabić przemilczeniem w interesie zwycięskiego katolicyzmu. Zanim się ukazała źródłowa praca Szczęsnego Morawskiego o „Arjanach polskich" (Lwów, 1906), „Literatura kalwińska" i „Literatura arjańska" prof. Tad. Grabowskiego (1906 i 1908) prof. Brückner wydaje „Dzieje literatury polskiej" (1903), a następnie swoją pracę o „Różnowiercach polskich" (1904 z datą 1905 r.), w której się ujął za wypędzonymi w r. 1658

„jednobożanami polskiemi“ (arjanami), tak nazwanemi, ponieważ nie uznawali trójcy i odmawiali bóstwa Chrystusowi. Zwrócił on uwagę nietylko na ich talenty polemiczne i literackie (Krowicki przewyższał swym talentem Skargę) oraz wysoki poziom umysłowy, ale przedewszystkiem na ich wysoki poziom moralny. Wystarczy przeczytać to, co o nich pisze Brückner na str. 135 „Różnowierców“, aby się przekonać, jaki potworny fałsz kryje się w samochwalstwie kleru papieskiego, iż to on jeden był wyrazicielem i konserwatorem kultury polskiej w dawnych i obecnych czasach. To, na co Brückner pierwszy zwrócił uwagę, były to prawdy, które szeroko otwierały oczy zakłamanej chytrze i przebiegle opinji publicznej w Polsce. A tu? a w obecnej swojej „opowieści“ o „dziejach kultury polskiej“ od r. 500 do 1831? Czy te sprawy pominął? Bynajmniej! On je jeszcze więcej uwypuklił. Z tych dwu tysięcy z górą stron jego imponującego tworu wciąż przebija się naga prawda, że katolicyzm narzucony nam przez germański „Drang nach Osten“ choć wpił się harpją w nasze życie zbiorowe, choć poniszczył wiele zabytków naszej prasłowiańskiej kultury (zob. Brücknera „Mitologję polską“ i „Dzieje języka polskiego“), nie przekształcił nas mimo wszystko na swoje uniwersalistyczne, jednostronne, eksterminacyjne kopyto i że mimo wszystko istnieje w tej kulturze całe mnóstwo niedających się zniszczyć pierwiastków plemiennych, które pozostawione samym sobie mogą dać światu i nam samym całkiem nieoczekiwane wartości, otworzyć nam oczy na rolę tego kulturalnego szkodnika, który głosząc zawodowo miłość, zieje na wszystko, co się nie mieści w jego doktrynie, zaplutą nienawiścią i hakatystycznem „Ausrotten!“ (wytępić z korzeniem). Dziś miljony polskich głuptasów, bez pracy i dachu nad głową, ogłupionych przez ambony i konkordat, szykują się wznieść kosztem stu miljonów zł. kościół opatrzności w Warszawie, nie mówiąc o innych przybytkach bożych, potrzebnych tylko klerowi, zamiast tę ohydę XX stulecia (kler) przepędzić z granic kraju na cztery wiatry i zająć się znośnem urządzeniem sobie życia na ziemi.

„Dzieje kultury polskiej“ to nietylko korona całożyciowego trudu jednego z najzasłużeńszych uczonych polskich, to także kamień węgielny zasługi „Krakowskiej Spółki wydawniczej“. Autor i wydawcy obdarzyli nas dziełem na miarę największych i dali nam możność objektywnej oceny samych siebie z perspektywy piętnastu wieków. Jak dotąd, nie spotkaliśmy poza bibljograficznemi wzmiankami żadnej recenzji tej książki, choć zwrócili już na nią dawno uwagę Czesi.

Z tej 3-tomowej „opowieści“ prof. Brücknera będą mieli największy pożytek wolnomyśliciele. Książka jest droga, to prawda. Można ją jednak nabywać na raty. W każdym ra-

zie powinna się ona znaleźć w bibljotece przynajmniej każgo Koła PZMW.

Do pomnikowej pracy prof. Brücknera będziemy jeszcze nieraz wracali, bo poprostu wracać do niej trzeba.

H. Wroński

IDEE I UTOPJE

Platon. RZECZPOSPOLITA, przełożył, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Stanisław Lisiecki, Kraków, nakł. Akademji Umiejętności 1928, str. 622, cena 12 zł.

Do szeregu djalogów Platona, przełożonych i wydanych w ostatniem dwudziestoleciu przez prof. Wł. Witwickiego z wyjątkowym pietyzmem („Uczta", „Faidros", „Gorgiasz", „Ijon", „Eutyfron", „Protagoras", „Obrona Sokratesa", „Fedon", „Kryton", „Hippjasz Mniejszy", „Hippjasz Większy) oraz do przełożonej dawniej przez Adama Maszewskiego „Obrony Sokratesa" (1899), „Fedona" (1907) i „Biesiady" (1909) przełożonych przez Stefana Okołowa, (że nie wspomnimy o przekładach dawniejszych dawno wyczerpanych) przybyła ostatnio „Rzeczpospolita", jeden z najważniejszych djalogów dla poznania metafizyki, estetyki i polityki Platona (427 — 347).

W końcowej dziesiątej księdze „Rzeczypospolitej" znajdujemy poglądy Platona na sztukę, na t. zw. życie pozagrobowe (reinkarnację, wcielanie sie, pośmiertną nagrodę i karę i t. p.), a przedewszystkiem mamy w niej obszerny wykład Sokratesa o ideach, stanowiących jak wiadomo, rdzeń platońskiej metafizyki. Idee Platona, tak jak i noumeny Kanta są „rzeczami samemi w sobie", bytującemi wiecznie i niezmiennie, jako idealne przyczyny, substancjalne formy i prawzory wszystkiego, co istnieje i zachodzi w świecie zewnętrznym. Mają one być podstawowemi, najistotniejszemi cechami i własnościami wszystkich zjawisk ziemskich, tworami myślowemi, poprzedzającemi i kształtującemi ogół tworów natury i człowieka. Najwyższą z idej, jest idea dobra, a jej ziemskim odpowiednikiem — sprawiedliwość. Idea ta ma być „słońcem" świata rzeczywistego i duchowego. Pełni ona w systemie Platona tę samą rolę jaką teologja przypisuje bogu osobistemu, choć idei tej Platon nie wyobrażał sobie nigdy w postaci ludzkiej. Rozważanie idej stanowi wiedzę.

Jako dzieło polityczne „Rzeczpospolita" stanowi najdawniejszą ze znanych nam utopij, t. j. wyimaginowanych, zmyślonych ustrojów politycznych, mających uszczęśliwić ludzkość. Do najgłośniejszych utopij po Platonie należą: ewangieliczne „Królestwo boże, wzgl. „Państwo boże" Augustyna, „Utopja" (stąd pochodzi określenie wszystkich tego rodzaju koncepcyj polityczno-społecznych) Tom. Morusa (1478 — 1535), „Państwo Słońca" Campanelli z r. 1623, „Nowa Atlantyda" Fr. Bacona (zm. 1626), pomysły ustrojowe pierwszych pisarzy socjalistycznych, t. zw. utopistów (Babeufa, St. Simona, Owena, Fouriera), „Kraj Wolności" Teod. Hertzki (1890) i t. d.

Swoje idealne państwo Platon dzieli na trzy stany: na stan karmicieli (robotnikow, rzemieślników, kupców), mających okazywać swoją cnotę w skromności; na stan wojskowych, którego cnotą ma być męstwo i na stan rządzących, reprezentujących rozum i mądrość jako najwyższą cnotę. Ponieważ mądrych jest niewielu, państwo Platona miało być ustrojem arystokratycznem. Rządzić miały tylko dwa ostatnie stany. Plebs się nie liczył. Aby przeznaczeni do rządzenia wiedzieli, jak to mają robić, Platon przepisuje dla nich specjalną metodę wychowawczą. W metodzie tej kładzie główny nacisk na wykształcenie filozoficzne. Kandydaci na archontów (przyszłych władców) winni do swego zawodu przygotowywać się conajmniej przez lat trzydzieści. Aby zostać archontem, trzeba było mieć skończonych przynajmniej 50 lat. Platon znosi małżeństwo, a zastępuje je jednorocznemi związkami, uświęconemi przez państwo, ale tylko dla dwóch odgórnych stanów: plebs może żyć, jak chce. Przyczem żon i mężów zainteresowani nie wybierają sobie, lecz je wylosowują z pośród kandydatów i kandydatek zakwalifikowanych, przez władzę państwową do rozpłodu (system „spartański"). Po wydaniu potomka na świat, który miał się stać własnością państwową i rodzice mieli go nie znać, dotychczasowi małżonkowie mieli dobierać sobie przez losowanie nową żonę lub nowego męża na następny rok i t. d. Dzieci cherlawe, słabowite lub niełądne miały być zabijane, a podchowane już do pewnego wieku włączane do jednego z trzech stanów, zależnie od przejawianych zdolności. Platon znosi własność prywatną i przyznaje równe prawa mężczyznom i kobietom. I mężczyźni i kobiety mają otrzymać jednakowe wykształcenie i oba rodzaje mają obowiązek bronić kraju i brać równy udział w pracy publicznej. Wszystkie jednak te „reformy" (wspólność dóbr, wspólność żon i dzieci) miały dotyczyć tylko stanu władców i stanu wojowników. Plebs ma sobie nadal żyć, jak żył bez praw i reform i ma wespół z niewolnikami pracować na rządzących i broniących. Etyka Platona godziła się — jak widzimy — z niewolnictwem i krzywdą społeczną, aczkolwiek Platon stale podkreślał, że istotą państwa winna być sprawiedliwość.

H. W.

ŚWIETNY SZKIC Z DZIEJÓW MYŚLI LUDZKIEJ

Leo Finkelstein. HEGEL, MARX i SPINOZA, próba syntezy, z okazji setnej rocznicy zgonu Hegla, W-wa, 1932, nakł. F. Hoesicka, str. 133 i nlb. 3, cena 4 zł.

Te trzy nazwiska, wymienione obok siebie, robią na pierwszy rzut oka wrażenie czegoś przypadkowego. Ale tak nie jest. Hegel, Marx i Spinoza to reprezentanci 3-ch najgłówniejszych kierunków myśli filozoficznej. Coś jak heglowska teza, antyteza i synteza. Historycznie rzecz biorąc, należałoby zacząć od Spinozy (1632—1677), przejść do Hegla

(1777—1831), a skończyć na Marxie (1818—1883). Ale autorowi chodziło o co innego. Na str. 8 czytamy:

„Na odwieczne pytanie o istocie rzeczywistości, która stanowi właściwe misterjum wszechświata (bo nie wiemy, skąd, się wziął? ani czem jest? p. m.) historja filozofji zna trzy klasyczne odpowiedzi: idealistyczną, materjalistyczną i psychofizyczno-monistyczną.

Idealizm opiera się na doświadczeniu wewnętrznem, na procesach psychicznych. Uważa ideę za rzeczywistość niezbitą, a materję za coś pochodnego. Początkiem wszechrzeczy jest tedy duch.

Materjalizm natomiast opiera się na doświadczeniu zewnętrznem, uważa materję za realność niewątpliwą. Że materja istnieje, to jest pewne, że istnieje jeszcze coś, to musi być dopiero dowiedzione. Pierwotna jest przeto materja, duch zaś jest funkcją. A zatem mamy tu do czynienia z niepokonaną biegunowością: tam byt zależny jest od myśli, tu myśl zależna jest od bytu.

Wreszcie monizm psychofizyczny utrzymuje, że wszelki byt jest wynikiem prapoczątku, t. j. substancji, która sama przez się nie jest ani duchowa, ani materjalna. Określenia: „duchowy“, „materjalny“, uważać należy tylko za przejawy substancji“ (podkr. n.).

I autor rozpatruje te trzy klasyczne kierunki myśli filozoficznej w osobach wymienionych trzech myślicieli. Hegel reprezentuje idealizm, Marx materjalizm, a Spinoza monizm psychofizyczny.

Po scharakteryzowaniu systemu każdego z tych myślicieli, autor zestawia najważniejsze punkty ich poglądów, wykazując jednocześnie, w czem się z sobą zgadzają, a czem różnią. Ta synteza wypadła b. dobrze.

Warto tutaj nadmienić, jak ci trzej myśliciele zapatrywali się na boga i religję.

Wg. Hegla wszystko wynika z ducha nieskończonego, czyli z boga. Religja jest samowiedzą tego ducha absolutnego (nieskończonego) za pośrednictwem skończonego ducha ludzkiego. Jednem słowem same „idealistyczne“ terminy, które nic nie wyjaśniają. Duch nieskończony jest tu założony i przyjęty dogmatycznie. Czem jest ten duch? nie wiemy. Wg. Hegla jest on wszechświatem. Jednak bóg Hegla nie bytuje ponad światem, jak bóg katechizmowy. Mimo to ten panteizm Hegla nie pokrywa się z panteizmem Spinozy, tego „pierwszego urzędowo uznanego w Europie bezwyznaniowca“. Dla Hegla świat i natura są wypływem ducha absolutnego. Dla Spinozy bóg i natura, to jedno. („bóg, czyli natura“). Stąd dla Spinozy wiara w boga pozaświatowego jest niedorzecznością. Zgodnie z tem Spinoza zwalcza religję dogmatyczną, za pomocą której kler wyzyskuje nędzę nieszczęśliwych i nieoświeconych warstw ludowych (str. 126). Pozatem zwalcza ją i dlatego, że religja upokarza człowieka,

akcentując bezustannie jego niemoc. Odrzuca też Spinoza wiarę w świat nadprzyrodzony i szydzi z cudów biblijnych. Ten pierwszy krytyk tekstów biblijnych[1]) twierdzi słusznie, że nic nie zachodzi wbrew prawom natury i dlatego nie uznaje ani jej domniemanego celu, ani wolności woli, gdyż człowiek, jako cząstka wszechświata, żyje i działa pod naciskiem jego praw, czyli konieczności.

Umiłowanie boga jest dla Spinozy umiłowaniem natury i doczesnego życia. To też Wolter miał słuszność, mówiąc, że Spinoza używał słowa „bóg“ jedynie w tym celu, aby nie wyprowadzić z równowagi ówczesnego czytelnika (str. 125). Nie istnieje też dla Spinozy t. zw. grzech, który nawet dla Hegla był mitem (str. 32).

Poglądy Marxa na religję pokrywają się całkowicie z poglądami Spinozy. Marx niemal na każdym kroku powiada, że religja jest wyrazem niemocy człowieka, i głosi, że świat wierzeń religijnych jest tylko odbiciem świata rzeczywistego. Te same poglądy wypowiadał i Feuerbach („nie bóg stworzył człowieka, lecz człowiek stworzył boga“). Dalej Marx nazywa religję „złudnem szczęściem ludu“, „opjumem“, „obłudną filozofją klas panujących“, i „narzędziem wyzysku“, a Lenin — najpodlejszą rzeczą, jaka istnieje na świecie (str. 84).

Książkę p. t. „Hegel, Marx i Spinoza“ napisał szczery wolnomyśliciel. Wydał on ją „z okazji setnej rocznicy zgonu Hegla“, ale równie dobrze mógłby ją był wydać „z okazji trzechsetnej rocznicy narodzin Spinozy“, która to rocznica przypada właśnie w roku bieżącym (24 listopada).

H. W.

Czesław Łukaszkiewicz. KSIĘŻY CHLEB, powieść z życia polsko-amerykańskiego, Chicago, tom I str. 130, tom II str. 80, do nabycia w administracji W. P., cena zł. 2.— za całość.

Życie naszego wychodźtwa jest tu tylko tłem, dekoracją teatralną; jest tem, co stwarza warunki dla właściwych „bohaterów“ tej powieści, któremi są jurne zaświatowe samce, odpasione i tryskające zdrowiem byczki z tonsurami na głowie, „błogosławiące“, „rozgrzeszające“, „przeistaczające“, a głównie umiejące robić dwie rzeczy wyśmienicie: wyciskać z ubogich duchem krocie dolarów rocznie i używać za nie ile wlezie. To „używanie“ kręci się głównie około zakazanego przez celibat owocu ciała niewieściego, który się zrywa, bo wprost w ręce wchodzi. A dzieje się to nietylko w Ameryce lecz i w Polsce. Dlatego powieść Łukaszkiewicza jest powieścią „polsko-amerykańską“ w całem tego słowa znaczeniu. Autor zna swoich bohaterów conaj-

---

[1]) Zob. „Rozprawę teologiczno-polityczną“ Spinozy. Wyd. Spółdz. „Bez dogmatu“.

mniej w tym stopniu, jak Fabre znał owady. Jego powieść to swego rodzaju dokument naukowy. Chwilami ma się wrażenie, że chyba i on sam musiał być księdzem katolickim. Takiego podpatrzenia wypasionych na „księżym chlebie“ tryków trudno byłoby się doszukać w jakiejkolwiek innej powieści współczesnej. Autor, stały współpracownik wolnomyślnego pisma „Ameryka-Echo“, jest nietylko doskonałym obserwatorem życia „obyczajowego“ plebanij amerykańskich, lecz i doskonałym beletrystą. Lekkość jego stylu idzie w parze z darem opowiadania (naracji), co sprawia, że „Księży Chleb“ czyta się jak doskonały feljeton.

W. S.

Odpowiedzi Redakcji

O CZELNOŚCI OKUPACYJNEGO DYPLOMATY

Ob. A. Dan. Tak, czelność i tupet tracących grunt pod nogami watykańczyków są niebywałe. Gdyby ob. Wroński obraził był, jako prywatna osoba, prezydenta Lebrun'a lub prezydenta Hindenburga, ani ambasador Laroche, ani poseł von Moltke nie wpadłby na myśl, aby interwenjować w tej sprawie w M. S. Z. Poprostu wstydziliby się uczynić coś podobnego. Ale reprezentant watykańskiego zaświatowca zdobył się na tego rodzaju dyplomatyczne zuchwalstwo i czelność. Ale czy to tym ludziom, którzy się kończą, co pomoże? Nic.

Zginą i tak, ponieważ zginąć muszą. Są to już tylko kopnięcia leżącego w agonji kłapouchego wierzchowca, na którym druga osoba trójcy miała wjechać do Jerozolimy.

Ob. M. Ćwiekowi. W sprawie stygmatyczki z Kennesreuth pisaliśmy w Nr. 1 W. P. z r. 1931 (str. 30).

O PSYCHOLOGJI KAPŁANA i o p. NOWACZYŃSKIM

Ob. Bol. Wielochowi. 1) Właśnie otrzymaliśmy świeżą notatkę jednego z naszych czytelników, który nam tak pisze:

„Kto chce poznać psychologję stanu kapłańskiego, niechaj czyta powieść Bolesława Prusa „Faraon“. Kapłani egipscy, hiszpańscy, polscy, czy inni byli i są zawsze tymi:

a) którzy pod rozmaitymi pozorami wykorzystują naiwność ludzką,

b) którzy pragną utrzymać swoje owieczki w ciemnocie, by tem większe ciągnąć z nich zyski,

c) którzy posługują się wszelkiem krętactwem, by ogłupiać ludność i taić przed nią prawdę,

d) którzy względem swoich przeciwników używali i używają wszelkich środków godziwych, by tylko osiągnąć swój cel.

Czytajcie więc „Faraona, a poznacie kapłanów“.

Od siebie zaś dodamy, że kler długo boczył się na Prusa za świetne odtworzenie w „Faraonie“ ich psychiki. Aluzje są aż nadto przejrzyste.

Pozatem polecamy doskonałą broszurę R. Mazoniego „Kapłan w dziejach ludzkości".

2) Nowaczyńskiemu na artyknł pt. „Ofensywa bezbożników" (Gaz. Warsz. Nr. 79) nie odpowiedzieliśmy dlatego, że Nowaczyńskiemu wogóle się nie odpowiada. Byłoby to poniżej godności ludzkiej. Natury więcej impulsywne, zamiast dysputować z tego rodzaju przeciwnikiem „ideowym", poprostu biją (czego nie pochwalamy), uważając, że na złą wolę, obelżywe paszkwile, łajdackie insynuacje i tym podobne łobuzerskie wyczyny tylko w ten sposób można reagować.

P. Nowaczyński nie skokietował nas nawet tem, że o „Wolnomyślicielu" wyraził się z dużem uznaniem. W naszym ruchu p. N. wszystko rozumie. Nie może tylko zrozumieć jednego, jak można dla idei pracować bezinteresownie i wydawać w Polsce pisma antyklerykalne bez subwencji funduszów dyspozycyjnych, skoro takie pisma klerykalne, jak „Rzeczpospolita" padają. Był jednak na tyle uczciwy — czego znów o KAP powiedzieć nie można, — że nie napisał wprost, iż dwutygodnik nasz otrzymuje subwencję z poselstwa sowieckiego via Gdańsk, lub że P.Z.M.W. uprawia szpiegostwo na rzecz Z. S. R. R.

O DUALIZMIE—SKUTECZNEJ WALCE Z KLEREM I PRZEWIDYWANIACH CO DO AMERYKI

Ob. Z. H. Choszczówka. Dualizm jest potrzebny klerowi, aby miał tytuł do darcia łyka z ciała na rzecz nieśmiertelnej duszy, która może być zbawiona tylko przy pomocy księdza, ale na co Wam jest dualizm potrzebny?, tego nie wiemy. Pomyślcie nad tem jeszcze i zastanówcie się, czy myślenie i wogóle świadomość nasza byłaby możliwa bez mózgu? To nic, że nauka jeszcze nie wie, jak materja (mózg) może myśleć, faktem jednak jest, że myśli. I to powinno nam narazie wystarczyć, aby nie zejść ze stanowiska monizmu.

Ob. Antoniemu Walczakowi w Cleveland. Całkowite unieszkodliwienie kleru jest możliwe tylko w ustroju socjalistycznym i to takim, w którym szkoła będzie miała charakter wyłącznie i zdecydowanie antyreligijny. Z plagą nonsensów kościelnych można skończyć radykalnie tylko drogą wyrzucenia kleru i dania młodemu pokoleniu odpowiedniej oświaty, opartej na nauce (nie mieszać z ,,nauką" kościelną lub z ,,nauką" religji). Wszystko inne — to półśrodki, które do celu nie doprowadzą.

Jeżeli się dobrze orjentujemy w tem, co się dzieje w Stanach Zjednoczonych, mamy wrażenie, że największy obecnie przewrót komunistyczny zajdzie w Ameryce. Kto wie, czy nie będzie on jeszcze krwawszy, niż w Rosji. Kraj, który boi się tknąć takiego zbrodniarza, jak Al Capone, gdzie mogą porywać dzieci, gdzie pomimo prohibicji, każdy polic-

jant wskaże wam, gdzie można dostać wódki, gdzie dwie partje „butlegerów“ (przemytników alkoholu) mogą strzelać do siebie na ulicach największych miast z karabinów maszynowych na oczach niereagującej na to policji, kraj, gdzie kapitalizm doprowadził do tego, iż w tej chwili liczba bezrobotnych przewyższa 10 miljonów ludzi, pozbawionych dachu nad głową, gdzie przeciwieństwa klasowe są bodaj największe na świecie—nie utrzyma zbyt długo swego dotychczasowego „porządku“. Dopóki dolar był — trzymał on wszystko mocnem spoidłem. Lecz teraz, gdy go zabrakło, katastrofa wydaje się nieunikniona. A opinja amerykańska jest tak urobiona przez szkołę, prasę, kino, literaturę i t. p., że tego zdaje się nie widzieć.

Z nadesłanej korespondencji skorzystamy.

Od administracji

Prosimy o uregulowanie należności podług przesłanych obrachunków. — Czeki P. K. O. załączamy.

Jednajcie nam nowych prenumeratorów!

WYSTĘPUJCIE Z KOŚCIOŁÓW I GMIN WYZNANIOWYCH!

Treść poprzedniego numeru:

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:

rocznie	zł. 14.00	miesięcznie zł. 1.20
półrocznie	„ 7.00	zagranicą 2½ dol. rocznie
kwartalnie	„ 3.50	numer pojedyńczy 60 gr.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Królewska 16, telefon 718-14.
Konto czek. P. K. O. 14200.

Redaktorka **Marja Jankowska**. — Wydawca **Spółdzielnia „Bez Dogmatu“.**

Zakłady Graficzne B. Pardecki i S-ka z o. o., Warszawa, Żelazna 56.